

Abigail Gordon

Dom marzeń

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Na miejsce aukcji wybrano kryty łupkowym dachem budynek starych stajni na samym krańcu miasteczka. Giselle rozejrzała się dookoła i pomyślała, że czuć tu jeszcze koński zapach.

Od wyjazdu z Paryża nie opuszczało jej dziwne poczucie nierealności. Co ona robi na tej głębokiej angielskiej prowincji? Odpowiedź była prosta. Ojciec, który przez ostatnie dwadzieścia pięć lat mieszkał ze swoją francuską żoną, a jej matką, w Paryżu, niespodziewanie oświadczył, że chciałby wrócić na stałe do rodzinnej miejscowości.

Ujawnienie przez ojca tego typu pragnień wstrząsnęło nią, lecz towarzyszące owemu wyznaniu okoliczności były jeszcze bardziej niewiarygodne. Po pierwsze powiedział jej o swoich planach w dniu pogrzebu Celeste na francuskim cmentarzu, po drugie oznajmił, iż dawny przyjaciel zawiadomił go, że dom, w którym mieszkał jako mały chłopiec, właśnie będzie wystawiony na aukcji.

Giselle słuchała tego wszystkiego oszołomiona.

– Jak możesz myśleć o takich rzeczach! – wykrzyknęła. – Przecież dopiero pochowaliśmy *maman*.

– Otóż to – odparł ojciec ze smutkiem. – Nie wyobrażam sobie dalszego życia w Paryżu bez niej. Sprowadziliśmy się tutaj, gdy miałaś dwa latka, ponieważ Celeste bardzo tęskniła za tym pięknym rodzinnym miastem. Ale teraz, kiedy jej już z nami nie ma, chciałbym wrócić do Anglii.

– Nie możesz jechać na aukcję, tato – zaprotestowała Giselle i spojrzała na ojca z troską. Miał siedemdziesiąt dwa lata, lecz wyglądał starzej. – Wiele tygodni opiekowaliśmy się razem mamą, jesteś bardzo zmęczony i osłabiony. Nie chciałabym stracić i ciebie – dodała.

– W takim razie będziesz musiała mnie zastąpić. Uczynię cię moim pełnomocnikiem – oświadczył.

Czekając teraz na rozpoczęcie aukcji, Giselle myślała, że nie ma ochoty wyprowadzać się z Paryża i zamieszkać w jakiejś zapadłej dziurze, na dodatek w kraju, gdzie bez przerwy pada deszcz. Z drugiej strony, po śmierci matki nie mogła zostawić ojca samego. Wiedziała, że w najbliższych miesiącach będzie mu bardzo potrzebna.

W wielkim mieście Giselle czuła się jak ryba w wodzie. Wolne chwile od pracy w szpitalu, gdzie przygotowywała się do zrobienia specjalizacji, spędzała, korzystając z wszelkich atrakcji metropolii, restauracji, teatrów, sklepów. Poza tym w Paryżu mieszkał Raoul – szarmancki szczupły brunet. Chociaż ostatnio rzadko się widywali. Raoul nie lubił rozmów o chorobach i często namawiał ją, by znalazła sobie jakieś inne, bardziej estetyczne, jak to ujmował, zajęcie.

Na opiekę nad matką Giselle wzięła długi urlop bezpłatny i teraz powinna już być z powrotem na oddziale – na nowo zająć się swą pracą oraz zacząć organizować sobie życie. I tak by uczyniła, gdyby ojciec nie zastrzelił jej tym niezwykłym pomysłem. W rezultacie, zamiast z powrotem przy łóżkach chorych, znajdowała się teraz w tłumie obcych sobie ludzi w małej miejscowości w Cheshire i szykowała się do wzięcia udziału w aukcji domu noszącego nazwę Abbeyfields, nawiązującej do starego opactwa, które w zamierzchłych czasach znajdowało się na terenie posiadłości. Z Paryża ojciec skontaktował się z agencją nieruchomości i gdy powiedział jej, jaka jest cena wywoławcza, Giselle była przerażona.

– Stać nas na tyle? – wyszeptała z trudem.

– Jeśli nie będzie innego wyjścia – odparł niezrażony.

Wówczas dotarło do niej, jak bardzo mu zależy na powrocie w rodzinne strony.

James Morrison, przyjaciel, który zawiadomił go o tym, że dom jest na sprzedaż, prowadził w miasteczku niewielkie centrum ogrodnicze. Wraz z żoną udzielił Giselle gościny. Pracownik agencji pokazał jej dom, potem wrócili do biura omówić szczegóły oferty. Wychodząc, Giselle omal nie zderzyła się w

drzwiach z zaferowanym następnym klientem.

Mężczyzna, szeroki w ramionach, postawny błękitnooki blondyn ze zdrową cerą, ubrany w tweedowy garnitur, uśmiechnął się i rzucił w pośpiechu:

– Przepraszam...

Odpowiedziała mu lekkim skinieniem głowy, zbyt zaabsorbowana myślami o tym, co przyniesie jutro, by poświęcać więcej uwagi nieznanemu. A jeśli ktoś ją przelicytuje? Agent twierdził, że aukcja wzbudziła spore zainteresowanie. Bardzo nie chciałyby wracać do Francji z wieścią, że ktoś inny kupił Abbeyfields. Potoczyła wzrokiem po zebranych i nagle zauważyła tego blondyna. Siedział po drugiej stronie przejścia i przeglądał katalog nieruchomości wystawionych na sprzedaż. W pewnej chwili, jak gdyby czując na sobie jej wzrok, uniósł głowę. Ich spojrzenia się spotkały. Tym razem się nie uśmiechnął. Ukłonił się zdawkowo i wrócił do lektury.

Giselle nie mogła oczywiście wiedzieć, że Marc Bannerman odwiedził agencję nieruchomości w tym samym celu co ona. On również zamierzał kupić Abbeyfields.

Dom znajdował się w cichym ślepym zaułku odchodzącym od głównej ulicy miasteczka, a z okien na piętrze rozciągał się wspaniały widok na okoliczne wzgórza. Doskonale nadawał się i na mieszkanie, i na lecznicę. Wobec rosnącej liczby mieszkańców w okolicy dotychczasowy lokal wynajmowany na przychodnię był już zbyt ciasny.

Kiedy agent powiedział mu, że szykowna kobieta o lśniących jasnobrązowych włosach i ładnej wyrazistej twarzy także jest zainteresowana kupnem Abbeyfields, pomyślał cierpko, że kolejna mieszkanka jakiegoś dużego miasta ulega modzie i postanawia uciec na prowincję.

Zazwyczaj nie miał nic przeciwko nowym przybyszom. Każdy ma prawo mieszkać, gdzie zechce. Ich miasteczko z domami z kamienia wapiennego, sklepami od pokoleń prowadzonymi przez te same rodziny, położone w pięknej dolinie pośród wzgórz, w

pewnej odległości od najbliższego większego miasta, to istna oaza spokoju. Idealne miejsce, gdzie Tom i Alice mogą spędzić szczęśliwe dzieciństwo. Jeśli tylko uda mu się kupić Abbeyfields.

Giselle wolałaby, by „jej” dom był licytowany na samym początku. Chciała jak najprędzej mieć za sobą to mało przyjemne doświadczenie, lecz Abbeyfields zajmowało dalekie miejsce na liście, a ona, przysłuchując się bojom o kolejne nieruchomości, odczuwała coraz większą treść i zdenerwowanie.

Tak wiele zależy od powodzenia mojej misji, myślała. Ojciec tak bardzo pragnie mieć ten dom, a po miesiącach towarzyszenia matce w powolnym umieraniu należy mu się trochę szczęścia. Nagle wszelkie obawy ustąpiły miejsca determinacji. Musi zdobyć Abbeyfields dla niego! Nawet gdyby miała rzucić na szalę wszystkie pieniądze, jakie posiadają, wszystkie co do ostatniego pensa, kupi go.

Zauważyła, że nieznajomy siedzący po przeciwnej stronie sali nie bierze udziału w przetargach. Ciekawe, na którą posiadłość ma chrapkę? Wkrótce miała się dowiedzieć.

Kiedy przyszła kolej na Abbeyfields, nie przyłączył się do licytacji i z jakiegoś niezrozumiałego dla niej samego powodu Giselle odczuła ulgę. Chłodne spojrzenie, jakim ją obrzucił na samym początku, wzmogło jej zdenerwowanie. Instynktownie wyczuła, że daje jej do zrozumienia, iż on jest stąd, natomiast ona jest tu obca.

Jednakże gdy kolejni uczestnicy licytacji zaczęli wycofywać się z gry, blondyn przystąpił do ataku. Wkrótce na placu boju zostali we dwójkę, Giselle i on.

Giselle ogarnęła panikę. Jest taki spokojny i opanowany, myślała, i równie jak ja zdeterminowany dopiąć swego. Błękitne oczy, które wczoraj rozbłysły na jej widok, teraz parzyły na nią tak lodowato, że najchętniej uciekłyby i schowała się w jakimś bezpiecznym miejscu.

I nagle było po wszystkim. Po jej ostatnim odezwaniu się zamilkł. Licytator trzykrotnie powtórzył sumę i przybił młotkiem. Dom był ich. Jej i ojca.

Klamka zapadła. Żegna się z Paryżem, lecz miała nadzieję, że nie z Raoulem. Chociaż czy będzie mu się chciało przeprowiać przez kanał, żeby spędzić z nią kilka chwil na zabitej deskami angielskiej prowincji?

Kiedy wychodziła, jej oponent nagle pojawił się przy niej i rzekł:

– Gratuluję. Mam nadzieję, że będzie pani szczęśliwa w Abbeyfields.

Giselle zmusiła się do uśmiechu. Miała wrażenie, że blondyn wcale jej dobrze nie życzy, że pragnie, by znalazła się jak najdalej stąd. Cóż, jeśli tak jest, w tych pragnieniach są zgodni.

No i nie udało się, myślał ponuro Marc Bannerman, idąc piechotą do lecznicy. Dzieci też spotka zawód. Już się cieszyły, że będą mogły hasać po łąkach wokół Abbeyfields, a tu figa.

Poranny dyżur właśnie się skończył i Stanley Pollard, teść Marca, oraz Craig Richards, lekarz stażysta, z niecierpliwością czekali na wiadomość, czy się przenoszą, czy nie. W odpowiedzi na ich pytające spojrzenia Marc potrząsnął głową.

– Niestety – rzekł. – Przelicytowała mnie jakaś całkiem obca kobieta, szatynka z pięknymi fiołkowymi oczami i pokaźnym kontem w banku.

– To pewnie ta sama, która zatrzymała się u Morrisonów – rzekł Stanley. – James był tu dziś na badaniach kontrolnych i powiedział, że przyleciała z Francji.

– Z Francji? – powtórzył Marc. – Od razu wiedziałem, że nie jest z tych stron. Nie mówił, jak się nazywa i dlaczego przyjechała aż z tak daleka?

– Giselle jakaś tam. Zdaje się, że James znał kiedyś jej ojca.

– Ciekawe – wtrącił Craig i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Długo zostanie?

– Podobno wyjeżdża stąd zaraz po zakończeniu aukcji.

Wracając do domu, Giselle starała się zmobilizować wszystkie siły, by stawić czoło czekającej ją przyszłości. Powtarzała sobie w duchu, że przecież Anglia nie leży na końcu świata, komunikacja

lotnicza jest bardzo dobra, poza tym można przejechać tunelem pod kanałem La Manche i zawsze gdyby zatęskniła za Paryżem i za Raoulem, w kilka godzin będzie na miejscu. Ciekawe, jak on przyjmie wieść o mojej przeprowadzce, pomyślała nagle. Doszła do wniosku, że to będzie dobry sprawdzian jego uczuć.

Nagle przypomniał jej się nieznajomy mężczyzna, którego wyeliminowała z licytacji, i ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Musiała przyznać, że podchodząc i gratulując jej, pokazał klasę. Natomiast ona nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa. Było jej głupio, że sprzątnęła mu sprzed nosa dom, którego wcale nie chciała.

No tak, ale zrobiłam to dla ojca, a on jest najważniejszy, usprawiedliwiała się w duchu.

Raoul, właściciel butik w jednej z eleganckich handlowych dzielnic Paryża, wcale nie ucieszył się z wieści, że jego dziewczyna przenosi się do Anglii. Oświadczył bez ogródek, że gdyby chodziło o Londyn, to od czasu do czasu mógłby ewentualnie przyjechać na jakiś pokaz mody albo podobną imprezę, ale nie miał zamiaru odwiedzać jej w jakimś Cheshire, więc niech lepiej jeszcze raz wszystko dobrze przemyśli i raczej zmieni zdanie.

– Wykluczone – oświadczyła beznamiętnym tonem. – Przynajmniej nie teraz. Po śmierci mamy ojciec mnie bardzo potrzebuje. Może za kilka miesięcy, kiedy przyzwyczai się do nowego otoczenia i otrząśnie po jej stracie, będę mogła wrócić. A tymczasem urządzę się tam, poszukam jakiejś pracy, ale tylko na część etatu, bo nie chcę zostawiać go na całe dni samego. Obawiam się, że to wszystko nie będzie łatwe.

– Przepraszam, klientka czeka – przerwał jej Raoul. – Daj od czasu do czasu znać, co u ciebie – dorzucił. – Odezwę się, jak będę w Londynie...

A ja głupia łudziłam się, że mu na mnie zależy, wyrzucała sobie Giselle, opuszczając butik.

Paryskie mieszkanie zostało sprzedane, meble zapakowane w

kontener i wysłane do Anglii. Wyraz twarzy ojca, kiedy jechali taksówką z lotniska do Abbeyfields, rozwiał wszystkie wątpliwości, jakie Giselle miała jeszcze na temat przeprowadzki.

– Powiedz – zaczęła – czy kiedykolwiek w przeszłości chciałeś tu wrócić?

– Och tak, wielokrotnie, ale twoja matka bardzo by się martwiła, gdyby się dowiedziała, że poświęciłem się dla niej. Nie tylko ją dręczyła nostalgia.

– Kocham cię, tato – szepnęła Giselle przez ściśnięte gardło i przysięgła sobie, że nigdy ani słowem, ani czynem nie zdradzi się przed nim, ile ją kosztowała decyzja o wyjeździe z Paryża.

Pracownicy firmy, której powierzyli przeprowadzkę, przyjechali przed nimi i czekali na instrukcje, jak rozmieścić poszczególne meble, i przez następnych kilka godzin Giselle pracowała bez chwili wytchnienia. Tymczasem ojciec chodził po pokojach szczęśliwy jak dziecko, które dostało nową zabawkę. Z tą tylko różnicą, że Abbeyfields nie było dla niego nowe – kryło w sobie wspomnienia, które całe życie pielęgnował w sercu.

– Aż do ślubu z twoją matką mieszkaliśmy tutaj z rodzicami – opowiadał. – Po ich śmierci daleki kuzyn odkupił dom i ziemię. Teraz i on, i jego żona także zmarli, a ja wróciłem na stare śmieci. Ale co będzie z tobą? Czy będziesz tutaj szczęśliwa? – dopytywał się. – Mam wyrzuty sumienia, że myślałem wyłącznie o sobie.

Giselle uśmiechnęła się słabo.

– Oczywiście, że będę, tato – zapewniła go. I oby tak się stało, dokończyła w myślach.

Marc słusznie przewidział, że dzieci będą bardzo zawiedzione, iż nie zamieszkają w Abbeyfields. Dziewięcioletni Tom zrobił naburmuszoną minę, natomiast sześciolatnia Alice stwierdziła rezolutnie:

– A my i tak będziemy się tam bawić. Na łąkach rośnie wysoka trawa, nikt nas nie zobaczy.

– To by było bezprawne wkroczenie na czyjś teren prywatny, kochanie – wyjaśnił ojciec.

Z żalem pomyślał, że Amanda wiedziałaby, jak ich pocieszyć. Niestety, matka Toma i Alice, miłośniczka koni i brawurowej jazdy, dwa lata temu zginęła zrzucona przez wierzchowca i od teraz Marc, wspomagany przez teściów, sam wychowywał dzieci.

– Obiecuję, że znajdę dla nas dom, gdzie będzie mnóstwo miejsca do zabawy – oświadczył.

W dniu, gdy do Abbeyfields wprowadzili się nowi właściciele, zobaczył stojący na ulicy samochód firmy przewozowej, mignęły mu też zgrabne nogi w dżinsach, lśniąca włosy związane w koński ogon i twarz, którą zapamiętał z aukcji.

Jego ciekawość wzmogła się po rozmowie z Jamesem Morrisonem z centrum ogrodniczego, który ujawnił, że Giselle Howard występowała jako pełnomocniczka ojca, wdowca pragnącego odzyskać rodzinne gniazdo.

– Obawiam się, że to przeze mnie sprzątnięto ci ten dom sprzed nosa, Marc – rzekł – bo to ja zawiadomiłem Philipa, że Abbeyfields jest na sprzedaż. Ojciec jest w siódmym niebie, za to córka chyba wolałaby zostać we Francji – dodał.

Poznawszy kulisy całej sprawy, Marc zaczął jakby odrobinę mniej boleśnie odczuwać porażkę niż na początku.

Następnego ranka po przeprowadzce Philip Howard obudził się z silną migreną i bólem stawów.

Zbadawszy ojca, Giselle zadzwoniła do Jamesa Morrisona z pytaniem, czy w miasteczku jest jakiś lekarz.

– Oczywiście, że jest, ale przecież ty sama jesteś lekarką – zdziwił się James.

– To prawda, ale mam ze sobą jedynie stetoskop i jakieś środki przeciwbólowe. Podejrzewam, że ojciec wczoraj się sforsował, poza tym miał zbyt wiele wrażeń. Wolałabym, żeby ktoś inny go obejrzał.

– Przychodnia znajduje się niedaleko was, po drugiej stronie głównej ulicy. Jeśli zaraz tam pójdziesz, złapiesz któregoś z lekarzy, zanim rozpoczną pracę.

Lecznica mieściła się w obskurnym budynku, lecz wewnątrz było nowoczesne, a recepcjonistka, kobieta w średnim wieku, całkiem

sympatyczna.

– Wprowadziliśmy się z ojcem dopiero wczoraj – zaczęła Giselle w odpowiedzi na jej pytające spojrzenie – lecz już potrzebujemy pomocy. Czy któryś z lekarzy mógłby przyjść zbadać mojego ojca? – zapytała.

– Jest kwadrans po ósmej i żadnego z lekarzy jeszcze nie ma, ale jak tylko któryś się pojawi, skieruję panią do niego – obiecała recepcjonistka. – Zaczynamy o wpół do dziewiątej – dodała.

– Są widoki na herbatę, Mollie? – spytał Marc od progu. – Prawie nie jadłem śniadania. Tom zapomniał kostiumu gimnastycznego i musieliśmy się wracać.

Dzień zapowiadał się ciężki. Craig miał zajęcia na uczelni, a tuż przed wyjściem Marc otrzymał telefon, że jego teść Stanley zachorował. Półpasiec. Pewnie zaraził się od pacjenta.

– Już nastawiam czajnik, doktorze Bannerman. – Recepcjonistka poderwała się z miejsca. – Aha, jedna pani czeka – poinformowała.

– Już? – mruknął Marc i obejrzał się przez ramię. – Znowu się spotykamy – dodał na widok Giselle.

– No tak – wybąkała, rozpoznając w osobie lekarza konkurenta z aukcji. – Przepraszam za najście, ale ojciec źle się poczuł i...

– Będę u państwa za dziesięć minut – odparł.

– Dzięki.

Giselle wyszła, a Marc udał się do gabinetu i opadł na krzesło za biurkiem. Wiedział, że Howardowie się już wprowadzili, lecz nie spodziewał się tak rychłego spotkania. Zauważył, że dzisiaj elegancka kobieta, jaką zapamiętał, wyglądała na zmęczoną, zauważył też jej skrepowanie. Domyślał się przyczyny.

Wypił łyk herbaty z parującego kubka, jaki Mollie postawiła przed nim, chwycił torbę lekarską i pobiegł do Abbeyfields.

– Nie stwierdzam niczego poważnego – odezwał się, kiedy skończył badać Philipa. – Migrena może być skutkiem stresu wywołanego przeprowadzką, a co do bólu stawów... Cóż, pewnie dźwigał pan ciężkie paczki, prawda?

Giselle gwałtownie potrząsnęła głową, lecz jej ojciec zrobił zmieszaną minę i przyznał:

– Przeniosłem to i owo, kiedy córka nie widziała.

– Otóż to – odparł Marc. – Nadwreżył pan sobie mięśnie, których zazwyczaj pan nie używa. Jeśli nie nastąpi poprawa, proszę mnie wezwać ponownie.

Giselle odprowadziła Marca do wyjścia.

– Ja też pracuję w służbie zdrowia – rzekła – ale wolałam zasięgnąć opinii drugiego lekarza.

– Czyli koleżanka po fachu.

– No tak... Do niedawna pracowałam w szpitalu w Paryżu, przygotowywałam się do specjalizacji. Przepraszam, że zwracałam panu głowę, ale czuję się trochę zagubiona. Marzeniem ojca był powrót w rodzinne strony, a ja...

– A pani? Czy pani też marzyła o przyjeździe tutaj? Giselle potrząsnęła głową.

– Nie. Przyznam się, że wolałabym zostać w Paryżu. Mam tam przyjaciół, pracę... Ale nie mogę zostawić ojca samego. Niedawno pochowaliśmy mamę i on mnie potrzebuje.

– Więc nie cieszy się pani z zamieszkania w małym miasteczku.

– Nie bardzo, ale sądzę, że przywyknę. Muszę.

– Teraz rozumiem, dlaczego była pani taka spięta i zdenerwowana podczas aukcji.

– Częściowo dlatego. Poza tym bałam się, że nie uda mi się osiągnąć celu. Zorientowałam się też, jak bardzo panu zależy na tym domu i ogarnęły mnie wyrzuty sumienia, że go panu sprzątnęłam sprzed nosa.

– Dobry Boże! – wykrzyknął Marc. – Zupełnie niepotrzebnie. W interesach nie wolno kierować się sentymentami. Wygrywa najlepszy albo najlepsza. Przychodnia się rozwija i szukałem większego lokum połączonego z mieszkaniem, żebym nie musiał wciąż kursować pomiędzy gabinetem a domem. A moje dzieci już się cieszyły, że będą mogły buszować po łąkach.

– W takim razie mam coraz większe poczucie winy.

– Niepotrzebnie. Na pewno znajdę coś innego.

– A co sądzi pańska żona?

– Moja żona nie żyje. Spadła z konia i zabiła się – wyjaśnił krótko.

– Boże! Tak mi przykro, doktorze Bannerman.

– Mam na imię Marc – przerwał jej.

– Proszę posłuchać... Dzieci mogą przychodzić bawić się na łąkach, kiedy tylko zechcą. I mogą korzystać z bocznej furtki.

– To bardzo miło z pani strony, doktor Howard – podziękował Marc.

– Po prostu Giselle. Minie jeszcze trochę czasu, zanim włożę biały fartuch.

– Miło mi było cię poznać. Mam nadzieję, że mimo wszystko spodoba ci się tutaj – rzeki Marc, pożegnał się i szybkim krokiem oddalił w kierunku głównej ulicy.

Giselle odprowadziła go wzrokiem. Niewiele miał do powiedzenia o zmarłej żonie, pomyślała. Wiedziała, że nie powinna była wypytywać go o sprawy prywatne, lecz od momentu, kiedy go zobaczyła, dziwnie ją intrygował.

Nagle stanął jej przed oczami Raoul brylujący w swoim paryskim butiku. Rozmowa z Markiem sprawiła, że zaczęła się zastanawiać, co właściwie w nim widziała.

Ciekawe, co pomyślał sobie o mnie ten tryskający zdrowiem sympatyczny lekarz. Że zadzieram nosa, że uważam się za lepszą od tutejszych? Żałowała, że zwierzyła mu się z niechęci do zamieszkania na prowincji. Bała się, że teraz doktor Bannerman uważają za snobkę, a przecież to nie była prawda.

ROZDZIAŁ DRUGI

Następnego dnia dolegliwości Philipa Howarda ustąpiły i korzystając z pięknej letniej słonecznej pogody, postanowił przejść się po miasteczku, odwiedzić stare kąty i zobaczyć się z przyjaciółmi z centrum ogrodniczego.

Z córką umówił się na lunch w restauracji hotelu na tyłach lecznicy Marca. Przybywszy na miejsce, Giselle zauważyła, że w bocznym skrzydle hotelu mieści się centrum odnowy biologicznej, klub fitness oraz siłownia, a ponieważ do spotkania z ojcem zostało kilka minut, postanowiła tam zajrzeć.

Kiedy weszła do holu, pierwszą osobą, jaką zobaczyła, był Marc Bannerman. Klęczał na podłodze między fotelami i kanapami, pochylony nad nieruchomym mężczyzną w średnim wieku. Obok stał zdenerwowany kierownik kompleksu i kilku przerażonych pracowników. Jak gdyby wyczuwając jej obecność, Marc podniósł głowę i wykrzyknął:

– Świetnie, że jesteś! Podejrzewam zatrzymanie akcji serca. Puls niewyczuwalny. Konieczna jest reanimacja. Ja będę robił sztuczne oddychanie, ty uciskaj mostek.

– Dobrze.

Giselle uklękła z drugiej strony nieprzytomnego mężczyzny. Skórę miał zimną i lepką, usta sine, włosy mokre, jak gdyby właśnie wyszedł spod prysznica. Położyła mu lewą dłoń na środku klatki piersiowej, nakryła prawą i zaczęła uciskanie mostka. Po piątym razie Marc ścisnął palcami nos ratowanego i rozpoczął wdmuchiwanie powietrza w jego usta. Kontynuowali reanimację, dopóki nie przyjechało pogotowie.

– Miał facet szczęście, że byliście na miejscu – stwierdził jeden z ratowników. – W przeciwnym razie przeniósłby się na tamten świat, zanim zdążylibyśmy dojechać.

Kiedy karetka odjechała, Marc i Giselle zamienili kilka słów z kierownikiem klubu.

– Klient przychodzi regularnie dwa razy w tygodniu i dwie godziny spędza na siłowni. Dziś też ćwiczył, wziął prysznic, a kiedy wychodził, zasłabł i upadł – wyjaśnił. – Jak to dobrze, że był pan akurat u nas, doktorze – dodał.

– I jak to dobrze, że doktor Howard zjawiała się w samą porę – odparł Marc, a odwracając się do Giselle, wyjaśnił: – Żona pana kierownika zachorowała na gripę. Właśnie ją odwiedzałem.

Wciąż oszołomiona Giselle odpowiedziała:

– A ja umówiłam się z ojcem na lunch w restauracji obok. Wstąpiłam tylko po ulotkę informacyjną. Pewnie już się martwi, dlaczego mnie nie ma.

– Dziękuję za pomoc.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odrzekła machinalnie i natychmiast uświadomiła sobie, jak idiotycznie w tych okolicznościach zabrzmiała ta grzecznościowa formułka.

To był dzień pełen zaskakujących niespodzianek.

Późnym popołudniem, kiedy ojciec odpoczywał, z łąki za domem dobiegły dziecięce głosy i śmiechy.

Aha, dzieci Marca korzystają z zaproszenia, pomyślała Giselle i wyszła im na spotkanie.

Tom i Alice na jej widok zamilkli i znieruchomieli.

– Jak się macie? Co u was? – zawołała do nich.

– Tata powiedział, że możemy się tu bawić – wyjaśnił Tom pospiesznie, nie odpowiadając na powitanie.

– Owszem – uspokoiła go. – Sama to zaproponowałam. Mam na imię Giselle, a wy?

– Ja nazywam się Tom, a ona Alice – odparł chłopiec.

– Już jesteście po szkole?

– Tak. – Tym razem odezwała się dziewczynka.

– Wróciliśmy do domu, przebraliśmy się i przybiegliśmy tutaj.

– Chcielibyście się czegoś napić?

– Tak – odrzekli chórem i natychmiast dodali:

– Prosimy.

– Mleko czy sok pomarańczowy? Dopiero się wprowadziłam i nie mam zbyt wiele do zaproponowania.

– Wszystko wiemy – pochwalił się Tom. – Tata chciał mieć ten dom, ale powiedział, że kupiła go jedna Francuzka z fuuurą szmału.

Giselle znowu ogarnęły wyrzuty sumienia.

– To mój ojciec kupił Abbeyfields, nie ja – sprostowała. – Poza tym wasz tata się pomylił, jestem tylko w połowie Francuzką i wcale nie mam fuuury szmału.

Szczególnie to drugie było prawdą. Wkrótce będzie musiała rozejrzeć się za jakimś zajęciem, a jeśli dostanie pracę w którymś z dużych szpitali w najbliższym mieście, ojciec na wiele godzin zostanie sam. A mimo że dziś rano tryskał energią, teraz czuł się zmęczony. Poza tym tylko ona jedna wiedziała, jak ciężko przeżył chorobę i śmierć matki. Nie musiała jednak akurat teraz o tym wszystkim myśleć. Jeszcze zdąży.

Było ciepłe letnie popołudnie. Tom, który wyglądał jak ojciec – miał jasną czuprynę i błękitne oczy – oraz ciemnowłosa i ciemnooka Alice, szybko wypili mleko i wrócili do swojej zabawy.

O wpół do szóstej przyjechał po nich Marc.

– Grzecznie się zachowywali? – spytał.

– Bardzo – zapewniła go.

– Nie mogę teraz długo zostać – przeprosił – mam jeszcze kilku pacjentów. Wpadłem, żeby zabrać dzieci i odwieźć do teściów, ale jeśli pozwolisz, chciałbym zamienić z tobą kilka słów. Wieczorem jesteś wolna?

Giselle z trudem powstrzymała się od parsknięcia śmiechem. Oczywiście, że jest wolna. Przecież oprócz ojca i Morrisonów nie ma tu nikogo znajomego.

– Tak – odrzekła, zastanawiając się, o czym Marc chciałby z nią porozmawiać.

– W takim razie wpadnę około siódmej, jeśli ci to odpowiada. Gdybym czekał, aż dzieci pójną spać, musiałbym zorganizować kogoś do opieki.

– Tak – odrzekła w ten sam sposób co poprzednio, jak gdyby nie znała innych słów. – Ten lekarz, który cię wczoraj badał,

zajrzy do nas dziś koło siódmej – poinformowała ojca, kiedy zszedł na dół.

– Ale ja czuję się już całkiem dobrze – nieśmiało zaprotestował Philip.

– Tato, on przyjdzie do mnie, nie do ciebie – wyjaśniła Giselle z uśmiechem.

– Doprawdy? To wspaniale – ucieszył się starszy pan.

– Jest wdowcem z dwójką dzieci, więc nie wyobrażaj sobie zbyt wiele – ostrzegła.

– Każdy będzie lepszy od tego pajaca ze sklepu z damską konfekcją – prychnął ojciec. – Nie wiem, co ty w nim widzisz.

– Widziałam – sprostowała Giselle. – Raoul jest już *passee*, tato.

Sklep z damską konfekcją! Dobrze, że nie z ciuchami! I dobrze, że Raoul tego nie słyszał, pomyślała i zachichotała w duchu.

Postanowiwszy jak najlepiej odegrać rolę gospodyni, z jednego z jeszcze nie rozpakowanych pudeł Giselle wyciągnęła butelkę francuskiego wina.

– Zastanawiasz się pewnie, w jakim celu przyszedłem – zaczął Marc, kiedy po przywitaniu się i zapewnieniu gościa, że czuje się już dobrze, Philip wycofał się do siebie.

– Nie ukrywam, że tak – przyznała, czując się teraz znacznie swobodniej w jego towarzystwie niż po południu. – Nie przychodzi mi do głowy żaden powód, chyba że chciałbyś mi przekazać złe wiadomości o tym mężczyźnie, którego wspólnie reanimowaliśmy.

– Jeśli chodzi o niego, mogę cię uspokoić – odparł. – Dzwoniłem do szpitala, leczenie przynosi efekty. Ale masz rację, moja wizyta wiąże się niejako z dzisiejszym zdarzeniem. Nasunęło mi ono bowiem pewien pomysł... – O co mu właściwie chodzi, zastanawiała się Giselle. Wolałaby, żeby wyrażał się jaśniej. – Wracam właśnie od teściów – ciągnął Marc. – Ojciec mojej żony zachorował na półpasiec, a obawiam się, że to filar mojej lecznicy, chociaż już kilka lat temu powinien przejść na emeryturę. Kiedy go dzisiaj zobaczyłem, pomyślałem, że po

chorobie raczej nie wróci do pracy... No, ale to sprawa dalszej przyszłości, a mnie w tej chwili bardziej martwi teraźniejszość. Przyszedłem zapytać, czy zgodziłabyś się pomóc mi w kryzysowej sytuacji i przez pewien czas go zastąpić?

Jeszcze zanim dokończył zdanie, Giselle już zaczęła potrząsać odmownie głową.

– Raczej nie. Jestem tu obca – zaczęła, a widząc, że chce jej przerwać, szybko ciągnęła: – O ile zdążyłam się zorientować, tu wszyscy wszystkich znają. Pacjenci mogliby nie mieć do mnie zaufania.

To wąty argument. Wiedziała o tym, ale nic innego nie przychodziło jej do głowy. Marc kompletnie ją zaskoczył, chociaż jego rozumowanie było całkiem logiczne. Jest lekarką, czasowo bez pracy, mieszka na miejscu. Tylko że ten zadziwiający mężczyzna zdaje się nie pamiętać o tym, że mówiła, iż nie chciała wyjeżdżać z Francji, że w Anglii czuje się nieswojo, że nie ma ochoty nawiązywać kontaktów z miejscową społecznością.

Odmowa Giselle dotknęła Marca bardziej, niż się spodziewał. Odstawił pusty kieliszek na stolik i podniósł się z fotela. Rozumiał jej opory. Pochodziła z zupełnie innego świata niż on. Wychowała się w jednym z najświetniejszych miast w Europie, a teraz znalazła się w niewielkim miasteczku na angielskiej prowincji, w bardzo małej, bardzo ze sobą zżytej społeczności, i poczuła się osaczona i przytłoczona.

– Przychodząc do gabinetu, pacjenci oczekują, że przyjmie ich dobry lekarz, i jest im obojętne, czy to będzie ktoś, kogo znają od dziecka, czy ktoś, kogo widzą pierwszy raz w życiu – odparował.

– Skąd wiesz, że jestem dobrą lekarką?

– Nie wiem, ufam intuicji. Co nie znaczy, że nie sprawdzę twoich kwalifikacji i nie zechcę się dowiedzieć, czy masz jakieś doświadczenie jako lekarz ogólny.

Giselle pozostała nieugięta.

– Wolałabym, żebyś poszukał kogoś innego – rzekła. – Na pewno są tu lekarze gotowi podjąć się zastępstwa.

– Na znalezienie kogoś potrzeba trochę czasu, a wiem, że jeśli

się okaże, że znalazłem się w podbramkowej sytuacji, mój teść zwlecze się z łóżka. – Dlaczego ją tak namawiam? – zastanawiał się. Powiedziała nie, to nie. A może zależy mi na tym, żeby to była właśnie ona? – Cóż, przepraszam, że oderwałem cię od twoich zajęć.

Z tymi słowami wyszedł.

– Czego chciał ten sympatyczny lekarz? – spytał ojciec, schodząc na dół.

Giselle natychmiast przypomniała sobie o postanowieniu, że nie może się przed nim zdradzić, jak bardzo tęskni za Paryżem.

– Proponował mi zastępstwo za chorego teścia – odparła lekko.

Philip uniósł krzaczaste brwi.

– Naprawdę? I co mu odpowiedziałaś?

– Odmówiłam. Powiedziałam, że jeszcze nie jestem gotowa podejmować się tego typu zobowiązań.

– Miałabyś dobrą okazję do poznania ludzi. – Philip użył tego samego argumentu co Marc. – Poza tym siedząc w domu, tracisz kontakt z zawodem.

– To prawda, tato – odparła Giselle – ale wolałabym pracować w dużym szpitalu.

– Rób, jak uważasz, córeczko – odparł Philip pojednawczym tonem. Podeszedł, pocałował ją lekko w czoło i dodał: – Tylko żeby to nie było zbyt daleko. Dni bez ciebie bardzo by mi się dłużyły. No... dobranoc.

Tej nocy Giselle nie mogła zasnąć. Myślała o dzieciach Marca, Tomie i Alice, miłych i zadbanych, które teraz jeszcze rzadziej będą widywały ojca. Myślała o tym, że jeśli podejmie pracę w przychodni tu, na miejscu, nie będzie musiała dojeżdżać i zostanie jej więcej czasu dla ojca i dla domu.

Właściwie dlaczego chcę zmienić decyzję, zadawała sobie w duchu pytanie. Czy chodzi o mężczyznę, czy o pieniądze, czy o to, że boję się bezczynności? A może do wyrzutów sumienia, że kupiliśmy dom, na którym Marcowi zależało, dochodzi poczucie winy, że odmówiłam mu pomocy?

Następnego dnia wypadła sobota. Matka jednego z kolegów Toma zabrała dzieci na cały dzień do siebie, a Marc udał się na poranny dyżur do przychodni.

Sięgając do kieszeni po klucze, poczuł na sobie czyjś wzrok. Serce zabiło mu mocniej, kiedy zobaczył, kto na niego czeka na ganku.

– Giselle! – wykrzyknął.

– Dzień dobry. Możemy porozmawiać, zanim zjawią się pierwsi pacjenci? – spytała spokojnym głosem.

– Oczywiście – odparł. Zauważył, że ma na sobie dobrze skrojone spodnie, wyłożoną na wierzch świeżo wyprasowaną bluzkę i, niestety, ciemne okulary zasłaniające oczy. Otworzył drzwi i zaprosił gościa do gabinetu. – Czyżbyś przyszła złożyć zażalenie, że ingeruję w twoje prywatne sprawy, których tajemnicy tak pilnie strzeżesz?

– Nie – zaprzeczyła ze sztucznym spokojem. – Przyszedłam powiedzieć, że zmieniłam zdanie. Jeśli twoja propozycja jest nadal aktualna, przyjmuję ją.

– Cieszę się – odrzekł i utkwiał wzrok w ustach, z których padły słowa, jakie pragnął usłyszeć. Były to usta ładnie wykrojone, lecz zdradzające niezależność i siłę charakteru. – To dobra wiadomość. Mogę spytać, co cię skłoniło do zmiany decyzji?

– Złożyło się na to kilka powodów, które wolałabym zachować dla siebie.

– W porządku. Najważniejsze, że dołączasz do zespołu. W sobotnie przedpołudnie zazwyczaj przychodzi mało pacjentów, więc gdybyś zechciała zaczekać i rozejrzeć się, pogawędzić z Mollie, która dzisiaj ma dyżur w recepcji, za chwilę będę do twojej dyspozycji. – Giselle kiwnięciem głowy wyraziła zgodę, a wówczas Marc zaprowadził ją do poczekalni i zwrócił się do recepcjonistki: – Zaopiekuj się doktor Howard, dobrze? Mam nadzieję, że wkrótce zacznie z nami pracować.

– Zanim podjęłam pracę w szpitalu, zajmowałam się medycyną ogólną – zaczęła Giselle, kiedy ponownie zaprosił ją do gabinetu.

– Trzy lata temu rozpoczęłam specjalizację z ginekologii w jednym z paryskich szpitali, lecz wzięłam urlop bezpłatny, żeby pielęgnować mamę. Miałam zamiar wrócić na oddział, ale kiedy ojciec zdecydował się przeprowadzić do Anglii, złożyłam wymówienie.

Marc kiwnął głową.

– Rozumiem, dlaczego nie jesteś bardzo zadowolona z sytuacji, w jakiej się znalazłaś, , ale mogę zapewnić cię, że żeńska część mieszkańców naszego miasteczka przywita cię z otwartymi ramionami, szczególnie kiedy się dowiedzą, że specjalizujesz się w chorobach kobiecych. Skontaktuję się mailem ze wszystkimi urzędami, żebyśmy mogli jak najszybciej załatwić formalności, a tymczasem zapraszam w poniedziałek rano, jeśli ci to odpowiada.

– Oczywiście. Gdyby wyniknęły jakieś kłopoty i okazało się, że się nie nadaję, natychmiast zrezygnuję.

– Mówisz tak, jak gdybyś z góry zakładała, że nie będziesz rozpaczała z tego powodu – skomentował cierpko, wiedząc już, że nawet gdyby ona nie żałowała, on by się zmartwił.

– Możliwe – odparła – ale świadomość, że ci pomogłam, łagodzi trochę moje wyrzuty sumienia.

– Z powodu?

– Z powodu rozczarowania twojego i dzieci, że to nie wy zamieszkaliście w Abbeyfields. A gdybyś na dodatek teraz przez moją odmowę miał poświęcać im mniej czasu niż zwykle, czułabym się jeszcze gorzej.

Marc przyglądał się jej zdumiony.

– Nie ma powodu, żebyś czuła się winna wobec mnie albo wobec dzieci – rzekł chłodnym tonem. – Doskonale rozumiem, że swoje sprawy stawiasz na pierwszym miejscu.

– A ja doskonale rozumiem, że jest ci mnie odrobinę żal, bo znalazłam się w obcym otoczeniu – odparowała.

– Nic z tych rzeczy. – Atmosfera w gabinecie wyraźnie ochłodziła. – Moje motywy były bardzo egoistyczne. Szukałem zastępstwa, a ty, domyślam się, potrzebujesz pracy, więc nie mówmy już o tym więcej, dobrze? – Podniósł się z krzesła, dając

sygnał, że rozmowa skończona.

Giselle także wstała. Miała nieodparte wrażenie, że we wzajemnych stosunkach cofnęli się o kilka kroków.

– Do poniedziałku – dodał i wyciągnął rękę na pożegnanie. Podając mu dłoń, Giselle przeczuwała, że polubi jego dotyk. I tak się stało. Uścisk dłoni Marca był mocny i pewny, sygnalizował, że jest mężczyzną potrafiącym samodzielnie rozwiązywać swe problemy i nie potrzebuje współczucia wyobcowanych neurotyczek.

Zamiast wrócić od razu do domu, postanowiła odwiedzić w miasteczku sklepy. Nie było ich wiele: rzeźnik, drogeria, fryzjer damsko-męski, piekarnia z gablotą smakowitych wypieków cukierniczych i największy z nich, sklep ogólny połączony z pocztą.

– To pani zamieszkała w Abbeyfields, prawda? – zagadnęła starsza kobieta stojąca za ladą w piekarni, gdzie Giselle wstąpiła kupić chleb z chrupiącą skórką i ciasto z owocami.

– Tak – odrzekła Giselle z rezerwą, lecz kobieta nie dała się zrazić.

– Słyszałam, że dom kupił Philip Howard, więc pani musi być jego córką – ciągnęła.

– Tak, Philip Howard to mój ojciec.

Giselle nie była zadowolona z tego, że stali się przedmiotem powszechnego zainteresowania.

– Chodziliśmy razem do szkoły. Proszę przekazać mu pozdrowienia od Jenny Goodwin, a to mały prezent na przypomnienie starej znajomości. – Kobieta wybrała placek migdałowy i położyła go na ladzie.

– Bardzo dziękuję – bąknęła zażenowana Giselle.

– Nie ma za co. Straciłaś niedawno matkę, dziecko, prawda? Musiało ci być ciężko...

– Tak, to były trudne chwile – przyznała Giselle. Nie mogła uwierzyć, że rozmawia o swoich prywatnych uczuciach z obcą osobą! Ku swojemu jeszcze większemu zdumieniu dodała spontanicznie: – Mieszkaliśmy w Paryżu. Mama była Francuzką.

– Wiem. Pamiętam, jak twój ojciec przywiózł swoją piękną francuską narzeczoną, żeby ją przedstawić rodzicom.

Giselle poczuła, że łyży dławią ją w gardle. To był okres w życiu ojca, o którym nic nie wiedziała.

Niewiarygodne, że spotkała tutaj kogoś, kto pamięta jej matkę!

– Dziękuję za ciasto – powiedziała i odwróciła się. Chciała jak najprędzej wyjść ze sklepu, zanim się rozpłacze!

– Jak ma pani na imię? – zatrzymała ją kobieta.

– Giselle.

– Bardzo mi było miło cię poznać, Giselle. Zachodź, ilekroć będziesz miała chęć pogawędzić. Zapraszam. Wiem, że jak się ktoś przeprowadzi w nowe miejsce, minie trochę czasu, zanim się przyzwyczai.

– To prawda – rzuciła Giselle i wybiegła na ulicę.

Idąc do domu, mimowolnie uśmiechała się do siebie. Jenny Goodwin to bardzo sympatyczna kobieta. Jeśli pozostali mieszkańcy miasteczka są podobni do niej, życie tutaj nie będzie aż takie nudne, jak się obawiała.

Kiedy ojciec zobaczył placek migdałowy i usłyszał, od kogo go dostał, twarz mu się rozpromieniła.

– Jenny Goodwin! – wykrzyknął. – A jakże, pamiętam ją! Razem chodziliśmy podkradać jabłka z sadów.

– Co?!

– Zbieraliśmy jabłka, które spadły, a czasami, jak właściciel nie widział, trochę im pomagaliśmy, potrząsając gałęziami – wyjaśnił ze śmiechem. – Ile razy nas przeganił...

– Ona pamięta mamę...

– No tak. – Philip pokiwał głową. – Gdybym nie poznał Celeste, niewykluczone, że ożeniłbym się właśnie z Jenny. Jeśli wciąż nosi nazwisko Goodwin, to pewnie nie spotkała nikogo, kto jej przypadł do serca.

Tym różni się to miejsce od Paryża, myślała Giselle, stojąc później w oknie sypialni i patrząc na zarys wzgórz na tle nieba, że tutaj ludzie nie są anonimowymi twarzami i głosami. Tworzą prawdziwą społeczność, łączą ich serdeczne więzi. Czasami może

to być kłopotliwe, lecz w chwilach trudnych zawsze będą przy tobie. A gdy zasypiała w idealnej ciszy, która po zgiełku paryskich ulic wciąż wydawała jej się niezwykła, nie czuła się już tak bardzo zagubiona i samotna.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy w poniedziałek rano przyszła do lecznicy, przed wejściem stały już trzy samochody, lecz znajomego auta Marca wśród nich nie było. Domyśliła się, że odwozi dzieci do szkoły. W holu natomiast kręcił się młody mężczyzna w garniturze i krawacie, który przedstawił się jej jako Craig Richards, Mollie zaś zaproponowała herbatę.

Giselle z wdzięcznością przyjęła propozycję i kiedy woda w czajniku się gotowała, poczuła, że trema, jaka towarzyszyła jej od momentu przebudzenia, ustępuje. Tymczasem Mollie zapoznała ją z resztą personelu, pozostałymi recepcjonistkami, dwiema pielęgniarkami i elegancką kobietą w średnim wieku, która była kierownikiem administracyjnym przychodni. W pewnej chwili, kiedy z parującym kubkiem w ręce stała przy biurku recepcjonistki, drzwi otworzyły się i ukazał się w nich mężczyzna, wokół którego przez cały weekend krążyły jej myśli.

W sobotę Marc nie miał wolnej chwili dla siebie. Korzystając z tego, że dzieci nie ma w domu, zrobił pranie, następnie prasowanie, potem skosił jeszcze zawsze zaniedbany trawnik. W ten sposób niedzielę mógł poświęcić Tomowi i Alice.

Dwa razy w tygodniu przychodziła sprzątaczką i to dzięki niej i Margaret, cudownej teściowej, do której codziennie wieczorem jechali we trójkę na kolację, jakoś dawał sobie radę. Dzieci były szczęśliwe i zadowolone i tylko w rzadkich chwilach tęskniły za matką. Na przykład kiedy Alice zapragnęła chodzić na lekcje tańca odbywające się w domu parafialnym i to babcia, a nie mama, musiała ją odprowadzać. Albo kiedy Tom boleśnie skaleczył się w nogę. Płakał i rozpaczliwie wołał: Mama!

Marcowi trudno było ocenić, jak bardzo on sam tęskni za żoną. Bywało, że gdy zajmowała się swoimi ukochanymi sportami, oskarżał ją o egoizm, lecz musiał przyznać, że zawsze odbierała dzieci ze szkoły, a kiedy wracał po ciężkim dniu do domu, zawsze

czekała na niego kolacja. Nigdy nie dochodziło między nimi do konfliktów, ale z drugiej strony nie był w Amandzie szaleńczo zakochany. Od czasu do czasu brakowało mu jej ciepłego ciała w łóżku, lecz zazwyczaj był tak wykończony, że ledwo przyłożył głowę do poduszki, natychmiast zasypiał.

W ten weekend jednak było inaczej. Położył się zmęczony, lecz nie mógł zasnąć, a powodem była kobieta, która teraz stała za biurkiem Mollie. Kiedy zamykał oczy, pod powiekami pojawiała mu się jej twarz, mleczna cera, wysokie kości policzkowe i... zmysłowe wargi.

– Cześć! – Obdarzył ją szerokim uśmiechem. – Poznałaś już wszystkich?

– Tak. Dziękuję.

Marc odwrócił się teraz do Mollie, która, nie pytając, podała mu kubek herbaty, i rzekł:

– Właśnie tego mi było potrzeba. Poniedziałki są najgorsze. – Westchnął. – No, zaczynamy – ciągnął prawie na jednym oddechu. – Czy ktoś mógłby sprawdzić, czy nadeszły wyniki badań Richarda Benyona? Ma na dziś wyznaczoną wizytę. Giselle? Proponuję, żebyś dzisiaj posiedziała ze mną. Zobaczysz, jak pracujemy.

– Oczywiście – zgodziła się, chociaż ogarnęły ją wątpliwości, czy naprawdę pragnie spędzić aż tyle czasu tak blisko niego.

– Maisie, to jest doktor Howard. – Marc przedstawił Giselle pierwszej pacjentce, starszej pani wyglądającej na ekscentryczkę. – Czasowo zastępuje Stanleya. – Słyszałam – odparła kobieta. Jej bystre oczy otoczone zmarszczkami spoczęły na Giselle. – Mówiono mi, że jest pani z kontynentu – dodała. Giselle nie zareagowała, a Marc spojrział na nią kątem oka. Bardzo nie chciał, by się domyśliła, że stała się swoistą sensacją w miasteczku. Maisie zaś zmieniła temat i spytała: – Jak się czuje biedny Stanley? Lepiej? Może zjadłby moich cynaderek?

Giselle ukryła uśmiech. Potrafiła sobie wyobrazić miny lekarzy w dużym szpitalu, gdyby pacjent pozwolił sobie wobec nich na podobną poufałość.

– Dziękuję, ale obawiam się, że nie – odparł Marc poważnym tonem. – Pomówmy o twoim zdrowiu. Słucham. – Starsza pani zaczęła rozwodzić się nad swoimi licznymi dolegliwościami, a kiedy skończyła, stwierdził: – Czyli skarżysz się na bóle stawów. Bierzesz lekarstwa, które ci przepisałem w zeszłym tygodniu?

– Czasami, kiedy sobie przypomnę.

– Musisz je zażywać – tłumaczył. – Posłuchaj, kup w aptece takie pudełeczko z przegródkami, do których wkłada się tabletki na rano, południe i wieczór. Zajrzysz i będziesz wiedziała, czyje połknęłaś, czy nie. Poza tym wypiszę ci skierowanie na densytometrię – ciągnął, a widząc, jak Maisie ściągnęła wargi, uspokoił ją: – Obecnie jest to rutynowe badanie dla kobiet w twoim wieku, więc nie denerwuj się.

– Na co to jest?

– To badanie gęstości kości w kierunku osteoporozy.

– I będę musiała gdzieś z tym jechać?

– Do kliniki uniwersyteckiej w Manchesterze. – Starsza pani już otwierała usta, by zaprotestować, lecz Marc nie dopuścił jej do głosu. – Wiem, co chcesz powiedzieć, ale o nic się nie martw. W obie strony pojedziesz karetką.

Maisie westchnęła ciężko.

– Trudno. Skoro mówisz, że to konieczne... To wszystko? – spytała, szykując się do wyjścia.

– Nie. Jak już tu jesteś, chciałbym ci zmierzyć ciśnienie. Podciągnij rękaw. – Po wyjściu Maisie Marc zwrócił się do Giselle: – Przykro mi, że twój przyjazd wywołał takie zainteresowanie, ale wierz mi, tutejsi ludzie nie mają żadnych złych intencji. Wszyscy wszystkich znają, są na ty, lecz się do siebie nie wtrącają.

– Oby. Cenię sobie prywatność. Nie zapominaj, że nie przyjechałam tutaj z wyboru. Nie jestem jedną z was.

Marc kiwnął potakująco głową, a ona wyczuła, że pogodny nastrój, jaki od rana z niego emanował, nagle go opuścił.

– Twierdzisz, że nie jesteś jedną z nas – rzekł – ale to nie do końca prawda. Twój ojciec kiedyś tu mieszkał, a ty jesteś przecież

jego córką.

Twarz Giselle złagodniała.

– Rzeczywiście. Daj mi trochę czasu. Wiesz, w sobotę odbyłam miłą pogawędkę z właścicielką piekarni. Wyobraź sobie, że pamięta moją matkę. Dzięki temu poczułam się trochę mniej obco.

– A widzisz? No, pacjenci czekają. Teraz wejdzie Richard Benyon. Choruje na stwardnienie rozsiane. Kilka tygodni temu stracił wzrok i właśnie odzyskał zdolność widzenia. Wiesz, że u pacjentów, u których choroba zaatakowała nerw wzrokowy, istnieje takie niebezpieczeństwo?

– Dawno zachorował?

– Osiemnaście lat temu. Wspaniale znosi swoje cierpienie, ale utrata wzroku zachwiała jego psychiką, czemu zresztą trudno się dziwić, i wywołała głęboką depresję.

Wysoki mężczyzna © ziemistej cerze obrzucił Giselle obojętnym wzrokiem, a kiedy Marc mu ją przedstawił, nawet nie zareagował.

– Więc jakie złe nowiny masz dziś dla mnie? – spytał. – Czy to się powtórzy? Kiedy?

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że na to pytanie nie potrafię udzielić ci odpowiedzi, Rick – zaczął Marc. – Przebieg SM jest trudny do przewidzenia. Za miesiąc, albo za kilka lat, możesz znowu przestać widzieć. Niewykluczone też, że to nigdy nie nastąpi. Preparat kortyzonowy, który przyjmujesz, powinien pomóc, ale niczego nie mogę ci obiecać.

– Jest już wynik rezonansu magnetycznego?

– Tak. Nastąpiło lekkie pogorszenie, lecz nie aż tak dramatyczne, jakie mogłoby być. Choroba nie zaatakowała pęcherza, jak to się dzieje u wielu pacjentów. Twoja sprawność ruchowa jest bardzo dobra. Potrafię sobie wyobrazić szok i stres związany z utratą wzroku, lecz dzięki Bogu to się cofnęło. – Marc urwał i uśmiechnął się do Ricka. – Zawsze myślałeś pozytywnie, więc się nie dawaj. Pamiętaj o Cassie i dzieciach.

Rick również się uśmiechnął.

– Bez nich nie mógłbym dłużej żyć. Nie wiem, jak Cassie to

znosi.

– Może pomaga jej to, że cię kocha? Pokaż się za tydzień, dobrze? Jeśli wciąż będziesz odczuwał przygnębienie, przepiszę ci jakiś środek antydepresyjny.

– Rozmowa z tobą już mi poprawiła nastrój, Marc – rzekł Rick, a patrząc na Giselle, jak gdyby dopiero teraz ją zauważył, dodał: – Doktor Bannerman całymi dniami wysłuchuje naszych kłopotów. Ciekawe, komu opowie o swoich?

Na przykład mnie, pomyślała. Już to zresztą uczynił. Chociaż w miasteczku jest tylu ludzi, których tak dobrze zna, ze swoim kłopotem zwrócił się do mnie.

Kiedy wszyscy zapisani na rano pacjenci zostali przyjęci, Craig przyciszonym głosem zagadnął Marca:

– Czy Giselle będzie uczestniczyć w wizytach domowych?

– Tak.

– Chętnie zabiorę ją ze sobą.

– Nie wątpię – odparł ironicznym tonem Marc – ale dziś doktor Howard pojedzie ze mną. Może za kilka dni, jak już się wciągnie, potowarzyszy tobie.

– Szczęściarz z ciebie – rzucił zazdrośnie Craig. To prawda, przyznał Marc w myślach. Miło będzie podczas wizyt u pacjentów mieć przy sobie Giselle.

– I co sądzisz o naszej pracy? – spytał, kiedy ruszali spod lecznicy. – Potwierdziły się twoje najgorsze obawy?

– Nie do końca. – Aha, pomyślała, uważa mnie nie tylko za samotniczkę, ale i za krytycznego obserwatora. – Oczywiście wszystko, co zobaczyłam, bardzo się różni od tego, do czego przywykłam. Nigdy nie spotkałam pacjentów tak zrelaksowanych podczas wizyty u lekarza.

Marc na moment oderwał wzrok od drogi przed sobą i obrzucił Giselle baczny spojrzeniem. Zauważył elegancką białą jedwabną bluzkę, którą uznała za stosowne włożyć pierwszego dnia pracy, i nagle ogarnęły go wątpliwości, czy dobrze postąpił, proponując jej zastępstwo.

– A według ciebie to dobrze czy źle? Teraz ona spojrzała na

niego zdumiona.

– Oczywiście, że dobrze! Jak mogłoby być inaczej? Jesteś wyjątkowym lekarzem – dodała i natychmiast pożałowała swoich słów. Przecież Marc może je zinterpretować na wiele rozmaitych sposobów! Miała nadzieję, że w jej komplementach nie zacznie się doszukiwać żadnych ukrytych podtekstów, lecz uzna, że wyraziła tylko podziw dla jego podejścia do chorych.

Nagle pomyślała o Raoulu, dla którego życie sprowadzało się do imprez towarzyskich i cekinów.

– Co za ulga! – westchnął Marc. – Zdaliśmy egzamin. Naprawdę się cieszę, że do nas dołączyłaś.

Wiele pacjentek powita cię z otwartymi ramionami. W naszej przychodni pracuje zbyt mało kobiet. – Tymczasem dojechali przed jeden z domków przy głównej ulicy. Marc zaparkował, a zanim wysiadł, wyjaśnił: – Obawiam się, że w tym przypadku mamy do czynienia z niewyjaśnionym i uprzykrzonym zespołem Munchausena. Irene Jackson jest niezamężna i mieszka sama. Przez wiele lat opiekowała się chorą na Parkinsona matką, a po jej śmierci jak gdyby przejęła jej rolę. Skarży się na rozmaite dolegliwości, których nie dało się zdiagnozować. Kilkakrotnie trafiała do szpitala, zawsze jednak były to albo choroby urojone, albo samookaleczenia, czyli chęć zwrócenia na siebie uwagi. Skończy się tym, że kiedy naprawdę zachoruje, nikt jej nie uwierzy. W każdym razie dzisiaj twierdzi, że ma drżenie rąk i nóg.

– Czyli objawy podobne do choroby Parkinsona.

– Właśnie. Ale Irene skarży się na rozmaite rzeczy. Jedyne, co mogę zrobić dla tej biedaczki, to starać się ustrzec ją przed niepotrzebnymi zabiegami i leczeniem. Próbowałem skierować ją na badanie psychiatryczne, ale nawet słuchać o tym nie chciała. Podejrzewam, że ona wcale nie chce wyzdrowieć. Całe jej życie obraca się wokół wyimaginowanych chorób.

– Jakie to strasznie smutne.

– Prawda? No, zobaczymy, czym nas dzisiaj zaskoczy.

Zanim zdążyli wysiąść z samochodu, drzwi wejściowe otworzyły się gwałtownie, a na progu stanęła niewysoka kobieta w

średnim wieku z długimi rozwichrzonymi włosami.

– Ile jeszcze czasu będziecie mitrzyć? – wrzasnęła. – Zabierzcie mnie do szpitala!

– Najpierw muszę zobaczyć, czy to konieczne – odezwał się Marc łagodnym tonem. – Jest dziś ze mną doktor Howard. Pozwolisz, żeby cię zbadła?

– Jeśli nie skieruje mnie do szpitala, to nie.

– Dopóki nie stwierdzimy, co ci dolega, nie możemy wypisać skierowania – tłumaczył.

– Najpierw osłucham pani serce, dobrze? – wtrąciła Giselle. – Potem zmierzę ciśnienie. – Po skończonym badaniu uśmiechnęła się do Irene, jak gdyby chciała dodać jej otuchy, i oznajmiła: – Z sercem wszystko w porządku. Proszę teraz powiedzieć, na co się pani skarży?

– Mam drżenie rąk i nóg i jeśli nie wezwiecie karetki, a ja umrę, to będzie wasza wina – warknęła Irene.

– Proszę się nie denerwować. Dam pani jakiś środek na uspokojenie, dobrze? – zaproponowała Giselle.

– Nie chcę się uspokoić! Chcę jechać do szpitala! Potrzebna mi operacja!

– Nie sądzę – oświadczyła Giselle zdecydowanym tonem. – Pani potrzebna jest odmiana. Czy spotyka się pani z jakimiś znajomymi?

– Oczywiście, że nie. Jestem chora! Jak nie skieruje mnie pani do szpitala, coś sobie zrobię! – zagroziła.

Giselle spojrzała na Marca, oczekując od niego wsparcia. Do tej pory się nie wtrącał, teraz zaś, widząc, że cierpiąca na zaburzenia neurotyczne pacjentka jak zwykle zapędziła ich w kozi róg, postanowił nie ryzykować i postąpić tak, jak wiele razy przedtem. Irene jest nieobliczalna. Jeśli zostawią ją samą, nie wiadomo, do czego się posunie. W szpitalu nie zdziwią się, kiedy ją znowu zobaczą, i po przebadaniu odeślą do domu. Na kilka tygodni będzie spokój.

– Zrobię, jak sobie życzysz – odezwał się – ale posłuchaj, naprawdę musisz więcej wychodzić do ludzi, znaleźć sobie jakieś

zajęcie. Zobaczysz, mniej będziesz myśleć o swoich dolegliwościach.

Irene wyprostowała się dumnie i przybrawszy oficjalny ton, odrzekła:

– Ile razy mam panu tłumaczyć, doktorze Bannerman, że jestem ciężko schorowaną kobietą?

– Tłumaczyłaś mi to już wystarczającą ilość razy – odparł. – Przyjąłem ten fakt do wiadomości. Zaraz zadzwonię po karetkę, ale muszę cię uprzedzić, że kiedyś obciążą cię kosztami za nieuzasadnione wezwanie pogotowia.

Irene westchnęła.

– Kiedy zobaczą, jaka jestem słaba, nie zrobią tego.

Karetką zabrała Irene do szpitala, a Marc i Giselle udali się do następnego pacjenta.

– Teraz jedziemy na wrzosowiska – wyjaśnił Marc. – Frank Fairbank zawsze widzi, jak samochód jedzie pod górę, i zaraz nastawia wodę na herbatę. Nie wzywał mnie, ale od czasu do czasu sam z własnej woli do niego zaglądam. Kilka lat temu stracił w wypadku nogę, przygniótł go traktor. Teraz farmę zajmuje się jego syn. Żyją w zgodzie, ale wiem, jak Frankowi doskwiera, że nie może być taki aktywny jak dawniej. To on znalazł Amandę – dodał.

Kiedy zajechali przed dom, Toby, syn Franka, wyszedł im na spotkanie.

– Dzień dobry, doktorze! Ojciec jest w kuchni, szykuje herbatę.

– Dobra wiadomość – odparł Marc. – To jest doktor Howard – przedstawił swoją towarzyszkę. – Zastępuje Stanleya, który nie czuje się dobrze.

Tymczasem Frank również się pojawił. Marc ponownie dokonał prezentacji.

– Nie zapomnij powiedzieć doktorowi o swoim kłopotcie, tato – przypomniał syn.

– O co chodzi? – spytał Marc. – Ostatnim razem byłeś zdrowy jak rydz. Wejdźmy do środka i wszystko mi opowiesz.

– Wyczułem guz w kroczu. To albo rak, albo przepuklina –

mówił farmer, prowadząc ich do przytulnego saloniku.

– Zbadam cię i zobaczymy.

– Poczekam obok – zaproponowała Giselle, nie chcąc krępować mężczyzny, tym bardziej że nie spodziewał się jej tutaj.

– Nie trzeba – odparł Frank. – Jestem pewien, że nie zobaczy pani niczego nowego – dodał żartem.

Po skończonym badaniu Marc stwierdził:

– Wykluczylbym przepuklinę, ale nie mogę powiedzieć, co to jest. Co o tym sądzisz, Giselle?

– Zgadza się, to nie przepuklina. Raczej łagodny guz albo torbiel, albo zgrubienie od ucisku protezy. Trudno jednoznacznie orzec.

Marc kiwnął potakująco głową.

– Wypiszę ci skierowanie na badania.

– Badania? Jakie badania? – zaniepokoił się Frank.

– Rutynowe. Morfologia, prześwietlenie...

– Dobrze. Kiedy to będzie?

– Poproszę o najszybszy możliwy termin. Tymczasem postaraj się nie zamartwiać. Aha, jeszcze jedno. Kiedy zauważyłeś ten guz?

– Tydzień, może dwa temu.

– A gdybym nie przyjechał, zadzwoniłbyś do mnie?

– Możliwe.

– Możliwe! – prychnął Marc. – Trzeba było od razu mnie wezwać!

W samochodzie Giselle spytała:

– Sądzisz, że Frank przyjechałby do ciebie?

– Nie – odparł. – Dlatego dobrze, że do niego zajrzeliśmy. Frank to twarda sztuka. Kiedy zdarzył się wypadek, nikogo nie było w pobliżu i kilka godzin przeleżał pod traktorem. Jak tylko wrócimy, zajmę się tymi badaniami, a tymczasem nie miałabyś ochoty na lunch? Dochodzi pierwsza. Niedaleko stąd jest niewielka gospoda, w której całkiem przyzwoicie karmią.

Czy nie za duże tempo? – pomyślał, gdy nie odpowiedziała od razu. To dopiero pierwszy dzień wspólnej pracy, może

powiniennem dać jej trochę ochłonać? Uważaj, mówił do siebie w duchu, bo zanim się obejrzyysz, wpadniesz z kretesem.

– Dobrze – przemówiła w końcu. Marcowi od razu humor się poprawił. Co prawda zdążą tylko wypić kawę i zjeść kanapkę, ale odrobinę dłużej będzie miał Giselle tylko dla siebie. – Opowiedz mi o dzieciach – poprosiła, kiedy już zajęli stolik.

– Czego chciałabyś się o nich dowiedzieć?

– Wszystkiego. Co lubią, a czego nie. Jak im idzie w szkole...

– Tom zje wszystko, co mu dasz, Alice zaś jest bardziej wybredna. Jej nauka przychodzi bez trudu, natomiast Tom musi się trochę bardziej przyłożyć.

– Tęsknią za matką?

– Nie tak jak z początku. Dzieci szybko przyzwyczajają się do zmian, chociaż blizny pozostają na całe życie. Staram się jak mogę wynagrodzić im brak Amandy i zazwyczaj mi się udaje. Teściowie bardzo mi pomagają. Przed dziećmi nie okazują żałoby i zawsze mogę na nich liczyć.

Giselle jest pierwszą kobietą, jaką spotkałem, która bardziej interesuje się moimi dziećmi niż mną, zauważył. Wiedział, że nie udaje. Poznała Toma i Alice i chciała się czegoś o nich dowiedzieć. Gdyby miał czas, chętnie porozmawiałby z nią dłużej.

Widząc, że podziwia skąpane w słońcu wzgórza i wrzosowiska, zmienił temat.

– Nie to, co w Paryżu, prawda?

– Prawda. Ale też bardzo pięknie. Jeszcze się nie przyzwyczaiałam do ciszy. W nocy nie słyszeć samochodów, tylko z rzadka przelatuje samolot. Mieszkaliśmy w pięknym apartamencie nad Sekwaną. Odkąd skończyłam dwa lata, tam był mój dom. Celeste, moja matka, była paryżanką i bardzo tęskniła za Francją. Ojciec postarał się więc o przeniesienie. Kiedy mama zachorowała na raka, wzięłam urlop bezpłatny, żeby pomóc mu ją pielęgnować, a po jej śmierci zamierzałam wrócić do pracy. Ale ojciec niespodziewanie oznajmił, że pragnie się przeprowadzić z powrotem do Anglii. Czuł się zmęczony i samotny, więc przyjechałam z nim.

– A co teraz sądzisz o przeprowadzce?

– Czuję się znacznie lepiej. Poznałam ciebie, pacjentów, okazało się, że właścicielka piekarni pamięta moją matkę...

Czyli jestem tylko jednym z wielu, pomyślał Marc cierpko. Ale z drugiej strony dobrze, że Giselle nie zamyka się przede mną. Poznanie tej kobiety uważał za najszcześniejszy dar od losu.

Na długo przed śmiercią Amandy ich miłość przygasła, żyli jak gdyby obok siebie. Każdego ranka, po wyprawieniu dzieci do szkoły, pędziła do swojej kasztanki Juniper, którą trzymała w stajni w miasteczku. Wieczorami, kiedy zmęczony wracał do domu, prawie zawsze już była gotowa do wyjścia. Tom i Alice byli nakarmieni, wykapani, przebrani w pidżamki, a dla niego czekała kolacja do odgrzania. Przestało go interesować, gdzie wychodziła, ale prawie zawsze był to klub brydżowy, siłownia albo spotkanie z koleżankami w pubie. Tolerował taki stan rzeczy, pamiętając o przysiędze złożonej przed ołtarzem, poza tym dobro dzieci stawiał na pierwszym miejscu. Jednak nie był szczęśliwy.

Jego małżeństwo skończyło się w sposób, jakiego nigdy nie przewidział, lecz odzyskanej wolności towarzyszył ból, żal i przytłaczające poczucie odpowiedzialności.

Zauważył, że Giselle nie przestaje mu się przyglądać. Jej zdumiewające fiołkowe oczy od pierwszej chwili przykuły jego uwagę. Gdyby wiedziała, o czym teraz myślę, natychmiast by uciekła, stwierdził w duchu.

Siedzimy tutaj razem tylko dlatego, że przelicytowała mnie i kupiła Abbeyfields, i od tamtej chwili dręczy ją poczucie winy. W innych okolicznościach nawet by na mnie nie spojrzała. Wdowiec z dwójką dzieci, który nie ma ani jednej wolnej chwili dla siebie! Zaraz, zaraz... Przecież znalazłem odrobinę czasu, nie?

Jak przyjemnie, myślała Giselle. Dobrze się czuła w towarzystwie Marca, lepiej niż z jakimkolwiek innym mężczyzną, nawet z Raoulem. Raoul był zmysłowy, nieobliczalny, ale nie miała mu tego za złe, przeciwnie, podniecało ją, że wciąż ją czymś zaskakiwał, lecz po tym, jak zakończył ich związek, nie chciała go

więcej widzieć.

Sama się sobie dziwiła, że praca w małej prowincjonalnej lecznicy tak się jej podoba, a pacjenci? Cóż, chorzy ludzie jak wszędzie, chociaż ci, których poznała dzisiaj, może z wyjątkiem Irene z zespołem Munchhausena, odznaczali się szczególnym stoicyzmem. Adwokat z SM. Trochę zdziwaczała Maisie, która tak się dopytywała o zdrowie Stanleya, i oczywiście Frank, farmer ze sztuczną nogą i guzem w kroczu, który sam nie zgłosiłby się do lekarza.

Widząc, że Marc bacznie się jej przypatruje, odezwała się do niego:

– Nigdy nie spodziewałam się, że los się do mnie uśmiechnie i ześle mi ciebie, jako lekarstwo na chandrę.

– Czyżby to znaczyło, że nie uważasz nas za straszliwych nudziarzy? – spytał.

– Nie. To ja byłam nudna z tym roztkliwianiem się nad sobą.

– Nieprawda. Wcale się nad sobą nie roztkliwiałaś, ale... – urwał i wstał – komu w drogę, temu czas. W poczekalni pewnie już ustawiła się kolejka.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W ciągu pierwszego tygodnia pracy w przychodni Giselle uświadomiła sobie dwie rzeczy. Po pierwsze – nie miała już czasu myśleć o sobie, po drugie – lecznica Marca działała, co prawda, na prowincji, ale w żadnym wypadku nie można jej było nazwać prowincjonalną. Dwie sekretarki zatrudnione na pół etatu pomagały kierownicze administracyjnej i załatwiały sprawy papierkowe, recepcjonistki były miłe i kompetentne, a pielęgniarki miały tak wysokie kwalifikacje, że przyjemnie było z nimi pracować. Dlaczego mnie to dziwi, dlaczego spodziewałam się, że będzie inaczej? – zastanawiała się. Kiedy pierwszego dnia wieczorem wróciła do domu, ojciec zaczął ją o wszystko wypytywać. Wyczuwał jej rezerwę w stosunku do mieszkańców miasteczka i brak entuzjazmu do integrowania się z nimi. Doskonale wiedział, że w przeciwieństwie do niego Giselle nie czuje się tu dobrze i wyrzucał sobie, że narzucił jej swą wolę.

– Nie najgorzej – odpowiedziała na jego pytanie, jak poszło. – Z początku czułam się trochę obco, ale potem nawet mi się spodobało.

Philip odetchnął z wyraźną ulgą.

– Dzięki Bogu, bo gdyby ci się nie spodobało, już byłem gotów namawiać cię do powrotu do Paryża.

– Do Paryża? Nie mogłabym tam wrócić – zaprotestowała. – Może w przyszłości, ale na pewno nie teraz. Pomyślę o tym dopiero wtedy, kiedy zobaczę, że doszedłeś do siebie.

– Więc nie usychasz z tęsknoty za tym właścicielem sklepu z konfekcją?

– Nie. Ta sprawa jest zakończona.

Dziwne, ale mówiąc te słowa, zobaczyła przed oczami twarz Marca, nie Raouła.

Kiedy wracała do domu, zawsze na łąkach bawili się Tom i

Alice. Przywoziła ich babka, a Marc zabierał po zamknięciu lecznicy. Na widok dzieci od razu humor jej się poprawiał. Skoro nie mogą zamieszkać w Abbeyfields, przynajmniej niech się wybiegają na ogromnej posesji.

W piątek jednak dzieci nie było i Giselle odczuła zawód. Odkąd zaczęła przynosić im słodycze, zawsze wyglądały jej powrotu. Kiedy weszła do kuchni, wszystko się wyjaśniło. Alice popłakiwała, Tom siedział z markotną miną, a ojciec grzebał w domowej apteczce.

– Co się stało? – spytała.

– Wdrapaliśmy się na bramkę i czekaliśmy na ciebie – zaczął Tom – i nagle Alice spadła i rozbiła sobie głowę.

– Właśnie szukam plastra – dodał Philip.

– Obejrzę stłuczenie. – Giselle wzięła sprawy w swoje ręce. – Dobrze by było opatrzyć Alice przed przyjściem ojca. – Nie płacz, kochanie – zwróciła się do dziewczynki. – Nabiłaś sobie guza, ale zaraz coś zrobimy, żeby cię nie bolało. – Delikatnie dotknęła skroni Alice. Guz był miękki i gąbczasty. – Upadła na trawę czy na beton? – zapytała.

– Na beton – odparł Tom.

Giselle pokiwała głową. Tego się obawiała.

– Zrobię ci zimny kompres – tłumaczyła – a kiedy przyjdzie tatuś, opowiemy mu, co się stało, dobrze?

Znalazła w apteczce wyciąg z oczaru wirginijskiego, nasączyła nim gazę, przyłożyła do uderzenia, potem posadziła Alice na kolanach i mocno przytuliła do piersi. Tak zastał je Marc, który przyjechał chwilę później.

– Tom i Alice siedzieli na bramce, czekając na mnie – wyjaśniła Giselle. – Alice spadła na beton. Obawiam się, że mocno się uderzyła – dodała spokojnym tonem, lecz z jej oczu Marc wyczytał komunikat przeznaczony tylko dla niego.

Podszedł i zajrzał pod kompres.

– Proponuję, żebyśmy pojechali do szpitala – odezwał się. – Tamtejszy lekarz będzie miał lepsze lekarstwo niż my. Co ty na to, Alice?

– Nie chcę do szpitala. Nie chcę! Nie!

– Nawet jeśli Giselle pojedzie z nami? Dziewczynka powoli odwróciła głowę i spojrzała na nią.

– Jeśli chcesz, pojedę – zapewniła ją Giselle.

– No dobrze... – ustąpiła Alice.

Zobaczyli, że zaczęła ją ogarniać senność. Nie zwlekając dłużej, wsiedli do samochodu.

– Myślisz o tym samym co ja? – spytał Marc.

– Krwiak?

– Tak.

– Niewykluczone. Guz jest miękki i gąbczasty.

Zaraz sprawa się wyjaśni – dodała, chcąc go uspokoić.

Marc był bardzo blady i trudno było mu się dziwić. Co będzie, jeśli się okaże, że obrażenia Alice są poważne? Niedawno stracił żonę. Jak zniesie kolejny cios, zastanawiała się Giselle i jej serce napełniło się lękiem.

Kiedy weszli na oddział ratunkowy, pielęgniarka od razu skierowała ich do lekarza dyżurnego. Teraz pozostało tylko czekać na wyniki badań.

– Może zadzwonię do twojej teściowej? – zaproponowała Giselle.

– Dzięki. Tom zna numer.

– Nie! – wykrzyknęła Margaret Pollard, kiedy Giselle zrelacjonowała jej, co się wydarzyło. – Biedactwo! Marc pewnie od zmysłów odchodzi.

– Bardzo się denerwuje.

– Przepraszam, nie dosłyszałam pani nazwiska. Kim właściwie pani jest? – dopytywała się Margaret.

– Giselle Howard. Zastępuję pani chorego męża w przychodni. Marc mnie o to poprosił.

– Ach tak! – Z tonu głosu swojej rozmówczynie Giselle wywnioskowała, że Margaret nic o tym nie wie.

Czekanie przedłużało się. Marc trzymał Alice za rękę, Tom siedział obok, z wyraźnym zainteresowaniem przyglądając się wszystkiemu – lekarzom, pielęgniarkom, aparaturze. Nagle Marc

odezwał się do Giselle:

– Dziękuję, że jesteś tu z nami.

– A gdzie mogłabym być w takiej chwili? – odparła. – Zrobiłabym wszystko, żeby tylko pomóc.

W tym samym momencie drzwi niewielkiej poczekalni otworzyły się i stanął w nich lekarz dyżurny.

– Chcecie wpierw usłyszeć dobrą czy złą wiadomość? – zaczął z uśmiechem, a nie słysząc odpowiedzi, ciągnął: – Nie stwierdziliśmy krwawienia wewnętrznego ani pęknięcia kości. Opuchlizna to tylko reakcja tkanki miękkiej. Dobrze, że przywieźliście dziecko. Jeszcze ją trochę poboli, ale w zasadzie to wszystko. Gdyby wystąpiły niepokojące objawy, oczywiście natychmiast przyjeżdżajcie.

– A senność? – spytał Marc.

– Cóż... Pan i żona najlepiej znacie córkę. Niemniej sędzę, że to albo reakcja na upadek, albo wyczerpanie płaczem, albo po prostu przyszła jej zwykła pora kładzenia się spać. Ale proszę ją obserwować i w razie czego bezzwłocznie przyjeżdżać.

Kiedy lekarz wziął ją za matkę Alice, Giselle poczuła, że się rumieni, lecz w drodze powrotnej Marc nie skomentował pomyłki. Stwierdził tylko, że nagle poczuł się głodny jak wilk.

– Wiesz, że ja też – odparła. – Dziwne, jak w chwilach wyjątkowego napięcia człowiek zapomina o jedzeniu.

– Margaret na pewno czeka na nas z kolacją. Co powiedziała, kiedy zadzwoniłaś?

– Bardzo się zdenerwowała. Poza tym spytała, kim jestem i co robię z wami w szpitalu.

– Hm.

Kiedy zatrzymali się przed Abbeyfields, Alice się przebudziła.

– Już nie będę siadać na bramce – bąknęła. – Obiecuję.

– Świetnie – odparła Giselle. – Tata bardzo się zdenerwował twoim wypadkiem.

– A ty?

– Ja też. Szczególnie kiedy po powrocie z lecznicy nie zobaczyłam was na polu. No ale tata na pewno chciałby, żebyście

jak najszybciej położyli się do łóżek, więc powiedzmy sobie dobranoc.

Żegnając się z nią, Marc rzucił:

– Do zobaczenia w poniedziałek.

– Zastąpię cię jutro – zaproponowała. – Miałeś ciężki dzień, odpocznij.

– Dasz sobie radę? Może wezwę Craiga?

– Nie trzeba – zapewniła go. Nie miała ochoty zostawać sam na sam z młodym lekarzem, który jasno dawał jej do zrozumienia, że mu się podoba. – Gdybym czegoś nie wiedziała, pomoże mi recepcjonistka.

– W takim razie dziękuję. Jeśli dzieci nie obudzą się za wcześnie, może uda mi się dłużej poleżeć?

Marc pomachał jeszcze Philipowi, który wyszedł na ganek, i odjechał.

– Skoro Alice wróciła z wami – zaczął Philip, gdy weszli do domu – to znaczy, że nic poważnego sobie nie zrobiła?

– Dzięki Bogu nic, ale byliśmy z Markiem bardzo zaniepokojeni.

– Cóż, ostrożności nigdy nie za wiele. Żał mi się zrobiło biedaka, kiedy wszedł i zobaczył, co się stało.

– Łatwo sobie wyobrazić, co pomyślał. Niedawno stracił w wypadku żonę – wyjaśniła Giselle.

– Naprawdę? Skąd wiesz?

– Powiedział mi. Wiesz, w szpitalu był taki krępujący moment... Lekarz wziął mnie za matkę Alice.

– Naprawdę?

– Powtarzasz się, tato – zirytowała się Giselle i odwróciła się do niego plecami, żeby włożyć gotowe danie do kuchenki mikrofalowej.

– Przepraszam. Ale na moje oko, jeśli nasz poczciwy lekarz jeszcze nie obsadził cię w roli matki swoich dzieci, ta mała już to uczyniła. Więc uważaj, chyba że nie masz nic przeciwko temu.

– Nonsens! – obruszyła się Giselle. – Chyba bym rozum straciła, żeby brać coś takiego pod uwagę.

Później jednak, stojąc w świetle księżyca obok pechowej bramki, przypomniała sobie, jak drobna i bezbronna była Alice w jej ramionach i serce jej przeppełniło współczucie dla dwójki osieroconych przez matkę dzieci.

Na początku ich znajomości to Marc zawładnął jej wyobraźnią, lecz teraz jej myśli obracały się wokół całej trójki. Muszę się mieć na baczności, pomyślała. Nie po to zrezygnowałam z mieszkania w Paryżu, żeby stać się czyjąś macochą.

Po drugiej stronie miasteczka, w zaniedbanym ogródku przylegającym do niskiego bliźniaka, Marc snuł swoje rozmyślenia. Dzieci już spały, za to on rozpamiętywał wydarzenia dzisiejszego popołudnia i wieczoru.

Przed oczami stanął mu obraz Alice przytulonej do Giselle i jej upór, by im towarzyszyła do szpitala. Zastanawiał się, co ta pełna rezerwy lekarka ubierająca się ze spokojną elegancją myśli o tym wszystkim.

Czy nie ma wrażenia, że od chwili przyjazdu, gdzie się nie obróci, natyka się na mnie? Czy nie boi się, że teraz chcę, żeby przywiązała się do dzieci?

Kiedy w szpitalu lekarz dyżurny wziął Giselle za jego żonę, Marc zamiast sprostować pomyłkę, odwrócił wzrok.

Nie tylko Alice cieszyła się, że Giselle pojechała z nimi. On też był wdzięczny, że w kryzysowej sytuacji po raz pierwszy nie został sam. Zazwyczaj był spokojny i opanowany, ale jeśli coś przytrafiło się Tomowi albo Alice, zachowywał się jak każdy wystraszony rodzic.

Kiedy księżyc wzeszedł, Marc sprawdził, czy dzieci śpią, poprawił Tomowi kołdrę i poszedł do swojej sypialni. Każdego innego dnia zasnąłby natychmiast, lecz dzisiaj sen nie przychodził. W końcu wstał i podszedł do okna. W oddali, na tle nieba, rysowały się kominy Abbeyfields. To tam tkwi przyczyna jego bezsenności. Pragnął Giselle tak, jak jeszcze nigdy nie pragnął żadnej kobiety.

Los mu ją zesłał, tylko w jakim celu? Nie po to, żeby mi padła w ramiona, dysząc z pożądania, pomyślał ponuro. Jej misją jest

raczej przypomnienie, czego mi w życiu brakuje. Zanim poznał Giselle, myślał czasami o ponownym ożenku, lecz jeszcze nie spotkał kobiety, która by rozbudziła jego namiętność. Wiedział dlaczego. Czekał na kogoś takiego jak ona. A teraz, kiedy już przyjechała, co zrobi? Zaryzykuje czy stchórzy, i resztę życia spędzi trawiony tęsknotą?

Zaskoczyła go propozycją wzięcia za niego sobotniego dyżuru. Uznał, że to krok we właściwym kierunku, lecz dotyczył sfery zawodowej, a on pragnąłby czegoś więcej. Ogarnęło go ponure przeczucie, że gdyby Giselle wiedziała, jaki zamęt wprowadziła w jego życie, odgrodziłaby się od niego murem.

Kiedy w sobotę rano zjawiała się w lecznicy, Mollie już tkwiła na stanowisku.

– Przyszłaś za Marca? – domyśliła się. – Należy mu się odpoczynek po wczorajszych przejściach.

– Właśnie – odparła Giselle. Tutejsza poczta pantoflowa działa niezawodnie, pomyślała.

– Mam nadzieję, że Alice nic nie jest?

– Badania nie wykazały niczego niepokojącego.

– Bogu niech będą dzięki! Biedak przeszedł już wystarczająco dużo, kiedy tak nagle stracił żonę.

– To musiały być dla niego bardzo ciężkie chwile – mruknęła Giselle. Nie była pewna, czy chce poznawać szczegóły prywatnego życia Marca, lecz nie bardzo widziała, jak taktownie zmienić temat.

– Z Amandy był niespokojny duch – ciągnęła Mollie z nutą dezaprobaty w głosie. – Wciąż gdzieś galopowała na tym swoim koniu i dumnie zadzierała głowę. Myślałby kto, że trenuje przed olimpiadą... Jej rodzice, Margaret i Stanley, są bardzo szanowani w okolicy. Robią, co mogą, żeby pomóc zięciowi.

Wejście pierwszego pacjenta przerwało im rozmowę. Trevor Kershaw był leśniczym i skarżył się na bóle w nodze.

– Kilka tygodni temu zostałem postrzelony – wyjaśnił.

– Postrzelony?!

Zdumienie Giselle nie miało granic.

– To był wypadek – ciągnął. – Może pani nie wie, ale dwunastego sierpnia rozpoczyna się u nas sezon polowań na kuropatwy i mój pracodawca zawsze zaprasza gości z miasta. Niestety – machnął ręką – wszyscy oni nie są zbyt obcy z bronią. Dostałem w łydkę. W szpitalu wyjęli mi śrut i myślałem, że na tym się skończy, ale teraz noga bardzo mnie boli.

– Proszę pokazać to miejsce.

Trevor Kershaw podciągnął nogawkę sztruksowych spodni, opuścił wełnianą skarpetę i odsłonił łydkę. Giselle uważnie zbadała blizny.

– Nie ma śladów infekcji, więc wszystkie kulki śrutu musiały zostać usunięte – zaczęła. – Możliwe jednak, że uszkodziły mięsień, wówczas potrzebna będzie fizjoterapia. Wpierw jednak trzeba zrobić nowe prześwietlenie. Poza tym taka gruba skarpetka tamuje obieg krwi. Niech pan spróbuje przez kilka dni pochodzić w szortach. I proszę zgłosić się ponownie do szpitala.

Kiedy pacjent wychodził, z recepcji dobiegły Giselle głosy Marca i dzieci. Wyjrzała z gabinetu.

– Miałeś odpoczywać – zaczęła, a zwracając się do Alice, spytała: – Jak się dziś czujesz, kochanie? Guz już się zmniejszył?

Nie musiała pytać, od razu zauważyła, że opuchlizna prawie całkowicie zniknęła.

Marc się nie odezwał. Na widok Giselle głos na moment uwiązał mu w gardle. Nad ranem, po bezsennej nocy, przyznał sam przed sobą, że zdążył się zakochać w tej szczupłej szatynce. Teraz musiał zmobilizować całą siłę woli, by nie podbiec i nie porwać jej w ramiona.

– Możemy iść pobawić się u Giselle? – spytała Alice, ciągnąc go za rękaw.

– Nie dzisiaj. Po wczorajszej przygodzie wolałbym mieć cię na oku. Urządzimy sobie piknik, dobrze?

– Tak, tato! Tak! – Tom i Alice wykrzyknęli chórem.

– Może się do nas przyłączysz? – spytał Giselle. – Poproszę Jenny, żeby nam przygotowała kosz z prowiantem. – Giselle

czuła, że się rumieni. Miała wielką ochotę się zgodzić, ale przypomniała sobie o wczorajszym nocnym postanowieniu. Wiedziała, że bardzo łatwo pokochałaby tę małą rodzinę, lecz to nie leżało w jej planach. Nie chciała zapuszczać tutaj korzeni, zamierzała kiedyś wrócić do Paryża. Marc przyglądał jej się bacznie. Żałował, że wyskoczył z tą propozycją. – Nie krępuj się – zaczął – jeśli masz inne plany...

– Właściwie mam – skłamała, lecz widząc łzy zawodu w oczach Alice, chciała zmienić zdanie.

– Giselle pojedzie z nami innym razem – Marc zaczął pocieszać córkę.

– Oczywiście – zapewniła dziewczynkę.

Na szczęście pojawienie się kolejnego pacjenta wybawiło ją z opresji.

– No to my znikamy. Miłego weekendu! – życzył jej Marc.

W niedzielę wieczorem Giselle doszła do wniosku, że dość już tego miotania się. Zobaczy się z Markiem i wyjaśni, dlaczego odrzuciła zaproszenie.

Kiedy ujrzał ją w progu, na jego twarzy odmalowało się zdziwienie.

– Wejdz, proszę. Stało się coś?

– Nie, nic – odparła, potrząsając głową. – Uznałam jednak, że winna ci jestem wyjaśnienie.

– Wyjaśnienie? W jakiej sprawie? – Zanim zdążyła odpowiedzieć, dorzucił: – Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy porozmawiali w kuchni? Właśnie prasuję.

– Jasne, że nie. Mogę nawet pomóc, jeśli zechcesz.

– Dziękuję. Nie trzeba. Dam radę.

– Nie twierdzę, że nie dasz – zachnęła się. Wybrałam zły moment, pomyślała.

– Właśnie miałem sobie zrobić przerwę na kawę – rzekł Marc.

– Napijesz się ze mną? Dzieci już śpią, więc możemy spokojnie porozmawiać.

Nie miała ochoty na kawę ani w ogóle na nic, chciała tylko oczyścić atmosferę, lecz bała się, że odmowa będzie nieuprzejma,

więc rzekła:

– Chętnie, a kiedy będziesz przyrządzał kawę, wyręcę cię w prasowaniu, dobrze?

– Wyjdziemy do ogrodu? – zaproponował Marc po chwili i podał jej parujący kubek. Zgodziła się, a kiedy wypila pierwszy łyk i odstawiła kubek na bok, rzekł: – O co chodzi? Nie krepuj się. Wal.

– W gruncie rzeczy to nic takiego – zaczęła – ale doszłam do wniosku, że muszę wyjaśnić, dlaczego nie skorzystałam z zaproszenia na piknik.

– Zaraz, zaraz – przerwał jej Marc. – Niczego nie musisz wyjaśniać. Jesteś niezależna i chcesz taką pozostać, a ja nie obwiniam cię za to. Przepraszam, że się narzucaliśmy.

– To wcale nie jest tak, jak mówisz – zaprotestowała. – Nie masz za co przepraszać. Pomogłeś mi pokonać chandrę. Ale mam nadzieję kiedyś wrócić do Paryża i nie chcę, żeby dzieci zbyt do mnie przywiązały i potem za mną tęskniły.

– Rozumiem, że nie udało nam się oczarować cię na tyle, żebyś zapragnęła zostać – rzekł niby żartem.

– Nie w tym rzecz. O powrocie pomyślę dopiero wtedy, kiedy zobaczę, że ojciec daje sobie radę sam. Rozumiesz mnie, prawda?

– Spojrzała na niego błagalnym wzrokiem. – Posłuchaj, tam przeżyłam całe swoje życie. Ty też nie chciałbyś nigdzie się stąd przeprowadzać, bo tu przeżyłeś swoje życie, prawda?

Marc miał ochotę powiedzieć jej, że dla niej gotów jest przeprowadzić się choćby na biegun północny, lecz milczał. Z jej błagalnego spojrzenia wyczytał, iż najbardziej zależy jej na tym, by ją zrozumiał. A rozumiał ją doskonale.

Giselle jest młodą, bardzo atrakcyjną kobietą, a on wdowcem z dwojgiem dzieci, które zbyt mocno kocha, by chcieć wyrwać je z ich środowiska. Ale oczywiście nie musi podejmować takiej decyzji, bo ona dała mu jasno do zrozumienia, że jest tu tylko przelotem. Zniknie z miasteczka, zniknie z jego życia.

– Mają przestać bawić się w waszym ogrodzie? – spytał obojętnym tonem.

- Skądże! – obruszyła się. – To bardzo miło, że przychodzą!
- Czyli chcesz utrzymać z nimi pewien kontakt, tak?
- Oczywiście. Nie traktuj mnie jak kogoś, kto nie lubi dzieci.

Staram się tylko wytłumaczyć ci moje plany.

A dla mnie w tych planach nie ma miejsca, chciał odpowiedzieć. Założyłby się, że tak właśnie zdecydowała.

Mylił się jednak. Kiedy ich oczy spotkały się, Giselle pomyślała, że bardzo łatwo mogłaby się zakochać w tym postawnym blondynie. Jeszcze niedawno wydawało jej się, że kocha Raoula, lecz złudzenie przysło, gdy przekonała się, jakim jest egoistą.

Marc westchnął.

– Jeśli chcesz ograniczyć kontakty z dziećmi, zgoda, lecz obawiam się, że pracując ze mną, jesteś skazana na moje towarzystwo.

Stara się mnie pogiębić, pomyślała. Widać było, że rozmowa z nią wytrąciła go z równowagi. Giselle za nic nie chciała, by odgadł, iż jej się spodobał i że sama myśl o tym ją przeraża. Wstała i rzekła:

– Pójdę już. Żałuję, że w ogóle przyszedłam.

Marc również podniósł się z miejsca. Nagle obrócił się do niej twarzą, pochylił i lekko pocałował ją w usta. Zesztywniała zdumiona.

– Tego się boisz? – szepnął. – Czy tego? – spytał i pocałował ją ponownie, tym razem już nie tak delikatnie, lecz mocno i namiętnie.

Zachwiała się, a on objął ją i przytrzymał.

– Przepraszam – bąknął, opuszczając ręce. – Pogorszyłem tylko sprawę, prawda?

Giselle milczała. Zabrała z kuchni żakiet, który zdjęła do prasowania, otworzyła drzwi frontowa i zniknęła w ciemności.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Następnego ranka Marc zjawił się w przychodni jako ostatni. Zasnął dopiero nad ranem, nie usłyszał budzika, i zanim odwiózł dzieci do szkoły, był ze wszystkim spóźniony.

W recepcji nie zastał nikogo, lecz poczekalnia była pełna. Rozejrzał się, zobaczył pacjenta wchodzącego do gabinetu Craiga, natomiast drzwi sąsiedniego pokoju były zamknięte. No tak, pomyślał zrezygnowany, mogłem się tego spodziewać. Pa wczorajszym incydencie Giselle postanowiła zrezygnować ze współpracy.

Ku jego zaskoczeniu jednak drzwi otworzyły się nagle i zobaczył, jak Giselle prosi kolejnego pacjenta.

– Musimy porozmawiać – szepnął do niej, podchodząc.

Giselle potrząsnęła odmownie głową.

– Nie mamy o czym. Wczoraj przekonałam się, że nie potrafimy dojść do porozumienia.

– Pozwól mi wszystko wyjaśnić.

– Nie ma co wyjaśniać. Nie przeszkadzaj mi, proszę. Pacjenci czekają. – Uśmiechnęła się do kogoś za jego plecami. – Zapraszam. – Miejscowa fryzjerka, Joan Pritcliard, weszła do gabinetu. Drzwi zamknęły się. – Co pani dolega? – zwróciła się do pacjentki.

– Podejrzewam, że mam zespół cieśni nadgarstka, pani doktor – zaczęła Joan bardzo fachowo.

– Dlaczego pani tak sądzi? – spytała Giselle, przystępując do badania przegubów obu rąk kobiety.

– Jedna z moich koleżanek to ma, a u siebie zaobserwowałam dokładnie takie same objawy.

– Proszę mi o nich opowiedzieć.

– Drętwienie, mrowienie i bóle palców, zwłaszcza kciuka. Szczególnie w nocy.

– To rzeczywiście są objawy zespołu cieśni nadgarstka –

potwierdziła Giselle. – Przyczyną choroby jest stały ucisk na nerw pośrodkowy w miejscu, gdzie przechodzi przez kanał nadgarstka pod wiązadłem od strony zewnętrznej. Wypiszę skierowanie do szpitala. Zrobią pani badanie przewodnictwa nerwowego w obrębie nerwu pośrodkowego. Jeśli nasze przypuszczenie się potwierdzi, będzie pani musiała spać w specjalnym aparacie zwanym ortezą. Inną metodą leczenia są zastrzyki z kortykosterydów. Pocieszające jest jednak to, że czasami dolegliwości znikają samoistnie.

Fryzjerka wyraźnie się ucieszyła.

– To wspaniale. Bo widzi pani, jestem wdową. Sama wychowuję dwójkę nastoletnich dzieci. Zakład to podstawa naszego utrzymania. Nie mogę sobie pozwolić na rezygnację z pracy.

– Proszę się nie martwić. Wygląda na to, że wszystko da się wyleczyć.

– Wiem, że moja choroba nie dotyczy tylko kobiet, ale gdybym miała babskie kłopoty, zgłoszę się do pani, pani doktor. Cieszę się, że mamy teraz lekarkę – rzekła Joan na koniec – i mam nadzieję, że pani już tu u nas zostanie.

Giselle wypełniała właśnie kartę ostatniego pacjenta, kiedy do gabinetu wszedł Marc.

– Przyszedłem służbowo, nie dla przyjemności – uprzedził z miejsca. – Otrzymaliśmy wyniki badań Franka Fairbanka. To rak. Jadę na farmę. Chciałbym, żebyś jak zwykle towarzyszyła mi w domowych wizytach.

Giselle wstała zza biurka.

– Skoro tak sobie życzysz...

– I obiecuję, że nie będę cię molestował w samochodzie.

– Widzę, że uważasz wczorajsze zajście za zabawne. Ja przeciwnie.

Na dobrą sprawę zgadzam się z tobą, odpowiedział jej Marc w myśli. To dlaczego pogarszam sprawę?

W milczeniu dojechali na farmę. Jak poprzednio Toby wyszedł im na spotkanie.

– Złe wiadomości? – domyślił się, widząc poważne miny obojga.

Marc przyjacielskim gestem położył mu dłoń na ramieniu.

– Gdzie ojciec?

– U siebie. Leży. Rano nie czuł się zbyt dobrze. Pójdźcie na górę, ja zdejmę tylko gumiaki, umyję ręce i zaraz dojdę.

Pierwszą rzeczą, jaką Giselle zauważyła, był wszechobecny bałagan. Brak kobiecej ręki bił w oczy.

Kiedy weszli do sypialni Franka, farmer uniósł się na poduszkach. Jego sztuczna noga leżała na krześle obok łóżka. Czy będzie mógł ją jeszcze nosić, jeśli zoperują mu guz w kroczu? – pomyślała natychmiast Giselle.

– Wiem, co mi powiesz – odezwał się Frank, zanim Marc zdążył otworzyć usta. – To okropne choróbsko wybrało sobie mnie, tak? W szpitalu uprzedzili, że to może być rak.

– To mięsak – zaczął Marc łagodnym tonem. – Znasz już więc złą wiadomość – ciągnął. – Ale jest i druga, dobra. Nie ma przerzutów.

– Co to jest mięsak? – spytał Toby.

– W przypadku twojego ojca to rak tkanki mięśniowej, a nie kostnej ani żadnego organu.

– Czy to znaczy, że są większe szanse na wyzdrowienie?

– Tak, zwłaszcza że nie ma przerzutów. Mięsaka trzeba usunąć, a dalsze leczenie to albo radioterapia, albo chemioterapia.

Frank zaśmiał się głucho.

– Zawracanie głowy! – prychnął.

– Nie mów tak, tato – poprosił Toby.

– Twój syn ma rację – wtrącił Marc. – Podziwiałem twoją odwagę, kiedy przygniótł cię traktor. Już nic gorszego nie może cię spotkać.

– Możliwe, ale wtedy, gdy tamto się stało, byłem młodszy i... i twardszy.

– Kiedy wyznaczyci ci wizytę u onkologa?

– W przyszłym tygodniu.

– Więc masz czas wszystko dobrze przemyśleć. Pamiętaj, co to

by znaczyło dla twojego syna, gdybyś zrezygnował z walki.

– Dobrze, zastanowię się. Jedyne miejsce, gdzie nie chcę, żeby grzebali, to to, gdzie opiera się proteza. I akurat tam będą mnie kroić.

Kiedy zeszli na dół, Toby rzekł:

– Spójrzcie tylko na ten dom. Ja nie mam czasu sprzątać, a teraz, kiedy ojciec źle się czuje...

– W waszej sytuacji macie prawo do pomocy opiekunki społecznej. – Giselle odezwała się po raz pierwszy od początku wizyty. – Zajmiemy się tym.

– Dziękuję. Gdyby przychodził ktoś do sprzątania, już byłoby bardzo dużo. Teraz nawet trudno tu znaleźć czysty kubek.

– Biedacy – odezwał się Marc ze współczuciem, kiedy zjeżdżali w dół polną drogą. – Jak znam Franka, będzie się kierował dobrem Toby’ego, lecz obojętnie jaką podejmie decyzję, czeka ich trudny okres. Im więcej możemy dla nich zrobić, tym lepiej. – Spojrzał na Giselle, a widząc łzę spływającą jej po policzku, spytał: – Co się stało?

– Nic, wspomnienia. Mama zmarła na raka. Była piękną, dobrą i kochającą kobietą. Bardzo ciężko przeżyliśmy z ojcem jej odejście. Nie mógł zostać w mieście, gdzie byli tacy szczęśliwi, i wrócił tutaj. To była ostatnia rzecz, na jaką miałam ochotę, lecz poświęciłam się dla niego.

Marc zapragnął objąć ją i przytulić, lecz obawiał się, że Giselle pomyśli, iż znowu chce ją pocałować.

– Teraz lepiej rozumiem, dlaczego czujesz się tutaj taka nieszczęśliwa – rzekł.

– Nie tyle nieszczęśliwa, co wyrwana ze swojego otoczenia – sprostowała. – Niektórzy ludzie natychmiast adaptują się w nowym środowisku, lecz widocznie ja do nich nie należę. Jedno chciałabym postawić jasno, gdybyś sądził, że umiem wyłącznie krytykować. Mam oczy otwarte i widzę, jak wspaniale kierujesz lecznicą. To dla mnie zaszczyt, że mogę z tobą pracować.

– Czyli nie całkiem wypadłem z łask? Rozbroił ją. Na nic się zdały postanowienia, by zachować dystans. Jak długo można się

gniewać na tego wspaniałego lekarza i cudownego ojca?

– Co z Alice? – zapytała.

– Dobrze. Siniaki już prawie zniknęły – odpowiedział, starając się nie patrzeć na jej pełne usta, którym wczoraj nie zdołał się oprzeć.

Niewiarygodne, jak ta kobieta na mnie działa, pomyślał. Od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczył, pragnienie kochania się z nią nie opuszczało go, lecz miało pozostać niespełnione. Giselle dała mu jasno do zrozumienia, że traktuje go wyłącznie jako swojego pracodawcę i że w jej planach na przyszłość powrót do Paryża jest sprawą numer jeden.

Pierwszą osobą, jaką zobaczyli przed przychodnią, była Irene Jackson, która właśnie wchodziła do środka.

– Och, nie! – jęknął Marc. – Dostałem list ze szpitala. Potwierdzili, że to zespół Munchhausena.

– Jeśli chcesz, ja ją przyjmę – zaoferowała się Giselle.

– Nie mam sumienia cię prosić.

– Mówię poważnie.

– OK. Ale uprzedzam, szybko się jej nie pozbędziesz.

– Nikt mi nie wierzy, kiedy mówię, że jestem chora – brzmiały pierwsze słowa Irene.

Giselle nie miała wątpliwości, że biedna kobieta jest chora, lecz jej choroba to sprawa psychiki, nie ciała. Tylko jak jej to wytłumaczyć?

– Ja wierzę – zaczęła łagodnym tonem. – Pani istotnie jest chora, i to na bardzo rzadką chorobę.

– Irene uspokoiła się. Z napiętą uwagą słuchała Giselle. – Ta choroba nazywa się zespołem Munchhausena.

– Wiedziałam, że się nie mylę! – wykrzyknęła triumfalnie Irene. – Wiedziałam!

– Jest jedna rzecz, co do której jednak się pani pomyliła – ciągnęła Giselle. – Nie jest pani chora fizycznie, choroba polega na tym, że pani sądzi, iż jest chora. Czy to jasne?

– Nie – odparła Irene beznamiętnym tonem. – Nie rozumiem, co pani mówi.

– Wiem, że to trudno pojąć – przyznała Giselle – ale następnym razem, kiedy ktoś pani nie uwierzy, że pani coś dolega, proszę powiedzieć, że ma pani zespół Munchhausena. Każdy choć trochę obeznany z medycyną zorientuje się, o co chodzi.

– Szybko się z nią uwinęłaś – zdziwił się Marc.

– Na dodatek miała całkiem zadowoloną minę.

– Pobawiłam się trochę w domorosłego psychologa. Wyjaśniłam jej, że rzeczywiście jest chora i że jej choroba polega na tym, że wyobraża sobie rozmaite dolegliwości. Nie wiem, ile z tego wszystkiego zrozumiała, ale wyszła usatysfakcjonowana. Inna sprawa, że nie wiadomo, jak prędko wróci.

– Znakomicie się spisałaś – pochwalił. – Widzę, że jesteś nie tylko piękna, ale i sprytna.

Giselle zawróciła do gabinetu. Trudno było nie zauważyć przewrotnego komplementu. W rzeczywistości jednak nigdy w życiu nie czuła się mniej atrakcyjna, a wygląd nie był jej bardziej obojętny. Każdego dnia zjawiała się w pracy elegancka i zadbana, ale robiła to nie z kokieterii, lecz z poczucia obowiązku.

Życie po stracie kogoś bliskiego pozbawione jest blasku, dopóki ból nie stepieje. Śmierć matki i porzucenie przez Raoula, kiedy tak rozpaczliwie potrzebowała wypłakać się na jego ramieniu, sprawiły, że przeglądanie się w lustrze nie sprawiało jej przyjemności.

Kiedy się rozstawali po pracy, Marc uprzedził:

– Nie zastaniesz dziś dzieci. Po piątkowej przygodzie uznałem, że Alice nie może jeszcze tak szaleć. Poprosiłem teściową, żeby miała na nią oko. Przyjdą jutro, chyba że wolałabyś, żeby już nie przychodzili?

Giselle od razu zrozumiała aluzję do piątkowej rozmowy.

– Skądże. Ojciec bardzo lubi, kiedy przychodzą. Zawsze patrzy przez okno, jak się bawią, a dla twoich teściów to też chwila wytchnienia.

– Dzięki. – Marc obronnym gestem uniósł otwarte dłonie. – Chciałem tylko wyjaśnić sytuację.

– Dobrze, że Tom i Alice znowu przychodzą – rzekł ojciec

następnego dnia, kiedy wróciła z pracy. – Dzisiaj przywiozła je babka. Zaprosiłem ją na herbatę, miło sobie pogawędziliśmy. Poznałaś ją już?

– Nie.

– Pamiętamy się z dawnych czasów. Graliśmy razem w tenisa, Jenny z piekarni, James, ten od centrum ogrodniczego, Margaret i ja. Była zaskoczona, że to właśnie my kupiliśmy Abbeyfields. Sądziłem, że w takiej małej miejscinie wieści szybko się rozchodzą, ale najwidoczniej się pomyliłem.

– Nie pomyliłeś się, tato. Państwo Pollard byli zbyt zajęci chorobą Stanleya, żeby interesować się plotkami. Ma półpasiec i zdaje się, że ciężko to przechodzi.

– Możliwe – przyznał Philip. – Jedno natomiast jest pewne – dorzucił. – Marc niewiele im mówił o tobie.

Giselle bynajmniej się nie zdziwiła. Rozumiała, że jako ich zięć był ostrożny w opowiadaniu o swoich znajomościach z przedstawicielkami płci przeciwnej. Pollardowie na pewno zdają sobie sprawę z tego, że kiedyś znajdzie sobie nową żonę, lecz myśl, że jakaś obca kobieta zajmie się wychowaniem ich wnuków, nie mogła być dla nich miła.

Rozmowę przerwało im wejście Toma wymachującego jakąś kartką. Tuż za nim dreptała siostra.

– To dla ciebie – oznajmił i wręczył Giselle laurkę przedstawiającą kobiecą postać narysowaną pojedynczymi kreskami.

– Naprawdę? Niemożliwe! – wykrzyknęła, mobilizując całą siłę woli, by nie wybuchnąć śmiechem. Doceniała gest nieśmiałego chłopca. – To ja, prawda?

Alice podała jej bukiet polnych stokrotek.

– Sama je zerwałam – pochwaliła się.

– Śliczne. Dziękuję. Umiesz upleść z nich wianek? – Dziewczynka zaprzeczyła ruchem głowy. – Nie? To chodź, nauczę cię – zaproponowała Giselle.

Kiedy Marc przyjechał po dzieci, zobaczył rysunek Toma na honorowym miejscu na półce z książkami i Alice z mozołem

wijącą wianek ze stokrotek.

– Jakże prawdziwe jest stwierdzenie, że nie to ładne, co ładne, ale co się komu podoba – przyciszonym głosem skomentował dzieło syna.

– Jest prześliczny. Zachowam go na pamiątkę.

– Naprawdę? – spytał, poważniejąc. – Będzie ci o nas przypominał.

– Wiesz, że ojciec zna twoją teściową? – szybko zmieniła temat. – Grali razem w tenisa.

– Tak? – odparł z roztargnieniem. – No, dzieci!

– zawołał. – Zabieramy się, babcia czeka. Bez dyskusji! Dziękujemy za gościnę – dodał, zwracając się do gospodarzy tym samym szorstkim tonem.

Giselle spojrzała na niego pytająco. Nie domyślała się, że teraz to on zaczął się martwić, że Tom i Alice zbyt się do niej przywiążą.

Dzieci przychodziły codzienne, lecz od tamtego pamiętnego wtorku Giselle pilnowała, by kiedy Marc po nie przyjeżdża, nie musiał wchodzić do domu. Domyślała się, że rodzinna scena, jaką zobaczył, przygnębiła go.

Zgodnie z obietnicą skontaktowała się też z wydziałem opieki społecznej i załatwiła pomoc dla Franka i jego syna.

– Dziękujemy, że się pani tym zajęła – zagadnął ją Toby, kiedy przypadkiem spotkali się w piekarni.

– Nie wiem, dlaczego sami nie wystąpiliśmy o to wcześniej. Co prawda płacimy trochę, ale ta kobieta jest bardzo sympatyczna i ojciec ją zaakceptował.

– Podjął już decyzję w sprawie operacji? – spytała Giselle.

Toby posmutniał.

– Ile razy zapytam, zbywa mnie. Ale w przyszły wtorek ma wyznaczoną wizytę u onkologa. Do tego czasu musi coś postanowić.

– Mogę poprosić doktora Bannermana, żeby do was podjechał – zaproponowała.

– Nie sędzę, żeby to cokolwiek zmieniło. Ojciec jest strasznie

uparty. Jak raz wbije sobie coś do głowy, żadna siła go nie przekona.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ku wielkiej uldze wszystkich Frank Fairbank zdecydował się poddać operacji.

– Wystarczyło kilka słów Mary, tej opiekunki, żeby go przekonać – opowiadał Toby z niedowierzaniem Marcowi, kiedy tydzień później przyjechał do lecznicy. – Zna ją zaledwie od kilku dni, a ja gardło sobie zdarłem od tłumaczenia.

– I czym go ta niezwykła kobieta przekonała?

– Cały czas się z nim prekomarza. Kiedy przyznał się jej do obaw, że nie będzie już mógł nosić protezy, „nóżki”, jak ją pieśczośliwie ochrzciła, powiedziała, że o kulach będzie tak samo przystojny i żeby się nie martwił na zapas.

– W jakim jest wieku?

– Po sześćdziesiątce. Ma córkę, mniej więcej moją rówieśnicę. Kilka razy podwiozła matkę samochodem.

– Nie są stąd?

– Nie. Mieszkają w mieście. Zatrudnia je gmina.

– Cóż... Jak mówią, niezbadane są plany opatrności – zażartował Marc. – Ale wygląda na to, że ta kobieta i jej córka z nieba wam spadły.

– Właśnie! – zgodził się Toby, a po jego wyjściu Marc mimowolnie zaczął się zastanawiać, czy te dwie kobiety są mężatkami.

Kiedy przekazał Giselle wiadomość, iż Frank jednak podda się operacji, bardzo się ucieszyła.

– To wspaniale. Może kiedy rana się wygoi, będzie mógł nosić protezę?

Dzień rozpoczął się dobrze, ucieszył się Marc, lecz jego radość trwała krótko. Kiedy razem z Craigiem pili we trójkę kawę po zakończenia porannego dyżuru, a przed wizytami domowymi, mimochodem spojrzął w okno i zobaczył jaskrawoczerwony samochód zatrzymujący się przed lecznicą. Porsche. Aż gwizdnął

pod nosem. Na liście pacjentów mieli sporo naprawdę bogatych ludzi, lecz tego cudeńka jeszcze nie widział.

Craig i Giselle, zorientowawszy się, że dzieje się coś niezwykłego, podeszli do okna. Widząc, kto odpina pas i wysiada z auta, Giselle zbladła.

– Raoul! – wyrwało jej się, lecz natychmiast się opanowała. – To do mnie – wyjaśniła już spokojniejszym tonem. – Przepraszam na chwilę.

– No, no – odezwał się Craig. – Kto by pomyślał, że nasza pani doktor ma takiego fatyganta z górnej półki.

– Może to krewny albo kolega z pracy? – warknął Marc.

– Nie sędzę. Spójrz tylko na nich!

Marc zobaczył, że nieznajomy obejmuje Giselle i całuje ją, natomiast to, że ona stoi sztywno w jego ramionach, jakoś uszło jego uwagi. Myślał tylko o tym, że oto poznał przyczynę jej tęsknoty za Paryżem. Ciągnie ją do tego wymuskanego gogosia!

– Przedstawiam wam znajomego z Paryża – zaczęła Giselle, wprowadzając Raoula do pokoju. Mężczyźni wymienili uściski dłoni. – Mam prośbę, Marc – ciągnęła. – Mógłbyś mnie zwolnić na popołudnie? Wieczorem Raoul wraca do Londynu, a mamy kilka spraw do omówienia.

Marca aż kusiło, by odmówić. Nie dlatego, że nie daliby sobie rady bez niej, lecz dlatego, że nie mógł ścierpieć myśli, że ona spędzi całe popołudnie z tym lalusiem, który przyjechał tu aż z Londynu wozem, przy którym jego samochód wyglądał jak grat nadający się na złom.

– Nie ma sprawy.

– Dziękuję.

Nagle wychwycił w jej głosie cień francuskiego akcentu, a kiedy jej towarzysz dorzucił swoje „*u revoir*”, uświadomił sobie, że Giselle istotnie jest tu tylko przelotnym gościem z całkiem innego świata.

Następnego dnia rano Marc po raz drugi w niedługim czasie pomyślał, że Giselle nie przyjdzie do pracy. Co prawda nie dała

mu żadnych powodów, by tak sądził, lecz przeczucie mówiło mu, że coś złego wisi w powietrzu. I po raz drugi się pomylił.

Kiedy się zjawił w lecznicy, Giselle już przyjmowała pacjenta. Serce mu drgnęło z radości. Przynajmniej ten Francuz jej nie wywiózł, pomyślał z ulgą. Ciekaw był, czy Giselle jakoś wyjaśni, kim jest Raoul i dlaczego tak ni z tego, ni z owego tu się pojawił.

– Wszystko w porządku? – spytał, kiedy wyszła z gabinetu, by włożyć kartę pacjenta z wpisanymi zleceniami do stojaka przed pokojem pielęgniarek.

– W absolutnym.

– Twój znajomy wyjechał?

– Tak.

Czyli nic z niej nie wyciągnę, pomyślał. Kobieta, w której się zakochałem, tak bardzo ceni sobie swoją prywatność, że nie ujawni żadnych szczegółów wczorajszej wizyty, skazując mnie na udrękę niepewności.

Zapomniał jednak o Craigu. Młody stażysta nie miał oporów przed zadawaniem osobistych pytań.

– Szykownych masz znajomych – zagadnął Giselle przy pierwszej okazji. – Łączy was coś?

Giselle obrzuciła go obojętnym wzrokiem.

– To moja słodka tajemnica, ale jak chcesz, możesz snuć domysły – odparła. – Raoula znam od dawna. Prowadzi w Paryżu butik i przyjechał do Londynu w interesach.

– I pomyślał, że skoro już jest w Anglii, to cię odwiedzi, tak? – Marc przyłączył się do rozmowy.

– Zgadłeś.

Chociaż Giselle nie mogła dojść do siebie po emocjach wczorajszego dnia, zachowała pokerową twarz.

Wciąż się zastanawiała, jak mogła się związać z tym próżnym pajacem, który miał czelność ni z gruszki, ni z pietruszki przyjechać do Cheshire i oczekiwać, że przyjmie go z otwartymi ramionami.

– Jak mnie znalazłeś? – spytała po francusku, gdy zostali sami.

– Pytałem o ciebie, a ludzie pokazywali mi drogę do lecznicy.

Stęskniłaś się za mną? No powiedz... Tak?

– Nie – oznajmiła. – Przy naszym ostatnim spotkaniu dałeś mi jasno do zrozumienia, co do mnie czujesz.

– Byłem przygnębiony twoim wyjazdem.

– Nie tak przygnębiony jak ja, ale cóż... Człowiek do wszystkiego się przyzwyczaja. Mam tu przyjaciół, którym na mnie zależy, ojciec jest zadowolony, a tę najważniejsze.

– Co tu jest do roboty?

– Mnóstwo. Pomagam miejscowemu lekarzowi.

– Temu, któremu przydałby się fryzjer? Giselle omal nie wybuchnęła śmiechem na myśl o Marcu z włosami modnie wystylizowanymi żelem, lecz się opanowała.

– Marc jest bardzo zapracowany i fryzjer na pewno nie zajmuje pierwszego miejsca na liście ważnych rzeczy, jakie musi załatwić. Kieruje przychodnią, a poza tym sam wychowuje dwójkę dzieci.

Nie wiedziała, dlaczego broni jego i tego miasteczka. Przecież z początku sama uważała je za odcięty od świata zaścianek, gdzie nic się nie dzieje. Teraz zaś zrozumiała, że powoli zaczyna ulegać jego urokowi.

Przedstawiając Raoula ojcu, modliła się w duchu, by nie wyskoczył z tym swoim „sklepem z damską konfekcją”. Nie uczynił tego, zachował się jeszcze gorzej!

– Ach, to pan jest tym znajomym mojej córki, który sprzedaje modne fatalaszki? – zaczął. – Miło mi pana poznać. – Po odjeździe gościa zaś spytał: – Więc to był ten butikowiec. Czy mamy się spodziewać następnych wizyt?

– Nie – ucięła. – Dobry numer z ciebie, tato – dodała. – Tak się wyrażać o jego kieckach...

– Wystarczająco długo mieszkałem w Paryżu, chociaż nie w takim domu jak ten – odparł Philip i puścił oko do córki. Uśmiechnęła się.

– Kochasz ten dom.

– Tak. Ty też, prawda?

– Tak – zaczęła – ale wciąż dręczą mnie wyrzuty sumienia, że przelicytowałam Marca. Wiem, jak bardzo mu zależało na kupnie

Abbeyfields.

– Nigdy nic nie wiadomo. Może pewnego dnia, po mojej śmierci i twoim powrocie do Paryża, zamieszka tutaj? A może wszyscy razem tu zamieszkamy, ty, Marc i dzieci? Tylko przedtem musisz nauczyć się dostrzegać to, co masz w zasięgu ręki.

Z tymi słowami, nie dając jej czasu na odpowiedź, Philip wyszedł do ogrodu.

Giselle wiedziała, co ojciec miał na myśli, lecz nie mogła się zgodzić z jego ostatnią uwagą.

Wszyscy się zmówili, by ją tu zatrzymać, Raoul zaś sądził, że po spotkaniu z nim spakuje walizki i razem wrócą do Francji. Ona jednak potrafi sama decydować o swoim życiu i kiedy nadejdzie czas, uczyni to. Byłoby jej jednak znacznie łatwiej, gdyby Marc i dzieci nie zajmowali tyle miejsca w jej myślach.

Teraz zaś była w pracy i musiała stawić czoło ciekawości Craiga i niby obojętnym pytaniom Marca. Ani nie przyznała, ani nie zaprzeczyła, że między nią a Raoulem coś jest. Może źle postąpiłam? – zastanawiała się. Gdyby Marc sądził, że jesteśmy parą, może machnąłby na mnie ręką, a wówczas miałabym ułatwioną sytuację.

Około południa zobaczyła go w towarzystwie elegancko ubranej, energicznej starszej pani.

– Doktor Giselle Howard, Margaret Pollard – przedstawił sobie nawzajem obie kobiety.

– A więc to pani jest córką Philipa Howarda – rzekła teściowa Marca, obrzucając Giselle baczny spojrzeniem orzechowych oczu. – Nareszcie panią poznałam. – Powitanie nie było nieuprzejme, nie było jednak szczególnie serdeczne. Giselle miała wrażenie, że stała się przedmiotem oceny, która nie wypadła dla niej zbyt pomyślnie. – Dużo o pani słyszałam od dzieci i od Marca – ciągnęła pani Pollard. – Moim wnukom potrzebny jest kontakt z młodszą kobietą, lecz jeśli pani nie zamierza tu pozostać, proszę nie rozbudzać w nich nadziei.

Giselle żałowała, że Marc, którego właśnie odwołano w jakiejś

sprawie na bok, nie słyszał tych ostatnich słów. Zaprzeczały bowiem jego twierdzeniu, że nie rozmawiał z teściową na jej temat. Zirytowała się. Co kogo obchodzi, gdzie przyjeżdżam albo skąd odjeżdżam! Jeszcze żeby im dała jakiś powód przypuszczać, że chcę zająć miejsce zmarłej Amandy!

– Pani wnuki są urocze i zapewniam panią, że nigdy nie zrobiłabym niczego, co mogłoby źle wpłynąć na ich psychikę – odrzekła chłodnym tonem. – Jeśli pani życzy sobie, abym trzymała się od nich z daleka, zastosuję się, lecz pod warunkiem, że pani sama wytłumaczy im, dlaczego tak się stało. Wydawało mi się, że przyjacielskie stosunki panujące w społeczności tego miasteczka są ogromną wartością i że mi odpowiadają – ciągnęła – lecz zaczynam czuć się osaczona, ponieważ każdy mój ruch wzbudza aż tak ogromne zainteresowanie. Rozmawiałam z Markiem o tym, jaką rolę widzę dla siebie w życiu jego dzieci, i sądziłam, że doszliśmy do porozumienia. Okazuje się, że nie.

– Ja tylko chciałam panią przestrzec – odparła Margaret, na pożegnanie skinęła ręką recepcjonistce i opuściła przychodnię.

Tymczasem Marc wrócił i widząc, że teściowa wyszła, zrobił zdziwioną minę.

– Nie wiedziałam, że aż tak się spieszy. Mówiła, że chciałyby cię poznać, a ponieważ potrzebowała receptę dla Stanleya, pomyślałam, że to będzie dobra okazja.

– Powiedziała, co miała do powiedzenia, i uznała, że nie ma tu nic więcej do roboty.

– Nie rozumiem?

– Właśnie mnie uprzedziła, że bym trzymała się z daleka od Toma i Alice. Potraktowała mnie, jak gdybym miała w stosunku do nich jakieś ukryte zamiary. Dlaczego wszystkich tutaj tak interesuje moje nudne życie? Teraz zresztą stało się dla mnie jasne, że rozmawiałeś z nią o mnie.

– Mylisz się – zaprzeczył Marc ze spokojem, który nie wróżył niczego dobrego. – Z nikim o tobie nie rozmawiałem. Wiem, jaka jesteś drażliwa na tym punkcie.

– Drażliwa?! – wybuchnęła. – Po raz pierwszy słyszę, żeby

domaganie się szacunku dla własnej prywatności określać jako drażliwość! Więc jeśli nie ty rozmawiałeś o mnie ze swoją teściową, to kto? Już czułam, że staję się częścią waszej społeczności, lecz teraz widzę, że wszyscy traktują mnie nieufnie.

Marc zacisnął zęby.

– Ja nie – zaprzeczył ponownie. – Jesteś najlepszym nabytkiem dla lecznicy od wielu lat. – A dla mnie poznanie ciebie to najlepszy prezent od losu, dodał w myślach, na głos zaś powiedział: – Jeśli Margaret cię uraziła, przepraszam. Jest osobą bardzo bezpośrednią. Rozumiem, że chroni swoje gniazdo, ale nie pozwolę, żeby przekraczała pewne granice. Jeszcze dziś wieczorem z nią porozmawiam.

Marc starał się być bardzo ostrożny. Jak łatwo by było wyznać Giselle miłość, powiedzieć, że jeśli odwzajemnia jego uczucia, to jest najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi, że on i dzieci z otwartymi ramionami przyjmą ją do swojego życia. Niestety, z każdą chwilą szanse na to malały. Nie otrzymał wyraźnej odpowiedzi na temat tego wymuskanego Francuza. Co prawda Giselle nie powitała gościa zbyt entuzjastycznie, ale zdążył się już przekonać, że nie okazuje uczuć, chyba że jest wściekła, jak teraz. Mógłby wysondować Philipa, lecz po niezręcznej interwencji teściowej nie odważyłby się rozmawiać z nim o prywatnych sprawach córki.

– Nie przyszło ci do głowy, że Margaret i twój ojciec rozmawiają sobie o tym i owym, kiedy ona przywozi wnuki do Abbeyfields? – spytał. – Znają się z młodości, prawda? Philip mógł jej wspomnieć, jak bardzo polubiłaś Toma i Alice...

Giselle słuchała, nie przerywając. Zaczerwieniła się tylko lekko i odpowiedziała:

– Może masz rację. Przepraszam, że napadłam na ciebie. Ojciec należy do tych osób, które bardzo by chciały, żebym tutaj została, ale jeśli to on powiedział Margaret, jaki mam dobry kontakt z dziećmi, to rozumiem, że się zdenerwowała. Uprzedziłam cię, jakie są moje plany. W tej sprawie nic się nie zmieniło.

Dyskretne chrząknięcie Craiga, przypominające, że czas

rozpocząć wizyty domowe, przerwało im rozmowę. W dziesięć minut wszyscy byli w samochodach i zmierzali każde w swoją stronę.

Giselle już na tyle dobrze poznała okolicę i pacjentów, że samodzielnie odwiedzała chorych. Jednak Marc z każdym dniem coraz bardziej żałował, że mu nie towarzyszy. Szczególnie dzisiaj, bo mogliby kontynuować rozmowę.

Tylko czy jest coś jeszcze do powiedzenia? Giselle stanowczo stwierdziła, że nic się w jej planach nie zmieniło. Spotkałem kobietę mojego życia, lecz trzeba by było chyba cudu, żebym ją zdobył!

Gdyby był samotny, bez dzieci, zachowywałby się inaczej. Chodziłby za nią krok w krok, zabiegał o jej względy, przekonywał, jaką mają przed sobą cudowną przyszłość. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że to nie wystarczy. Giselle musiałaby odwzajemnić jego uczucia, pragnąć być z nim tak samo gorąco, jak on pragnie być z nią.

Jadąca w przeciwnym kierunku Giselle wyrzucała sobie, że głupio się zachowała. Po pierwsze oskarżyła Marca o coś, czego nie zrobił. A zdążyła go poznać na tyle dobrze, że wiedziała, iż nie kłamie.

Po drugie po raz kolejny oświadczyła, że nie ma zamiaru zostawać w Anglii. Dlaczego uważam, że muszę mu to w kółko powtarzać? Jeśli kiedykolwiek będę chciała zmienić decyzję, wyjdę na kompletną idiotkę. Niewykluczone, że Marc ma już dosyć ciągle tej samej śpiewki. Nie może się jednak dowiedzieć, że z jego powodu zaczęłam się wahać. To znaczy wahałam się do momentu rozmowy z Margaret.

Giselle właściwie ją rozumiała. Matka Amandy całkowicie poświęciła się wnukom. Kiedy ich ojciec był w pracy, ona się nimi zajmowała. Jak można ją winić? Giselle miała nadzieję, że z jej powodu Marc nie zepsuje sobie stosunków z teściową.

Pierwszą pacjentką, jaką odwiedziła, była Irene Jackson. Jadąc do niej, myślała, że ostatnia rozmowa nie odniosła żadnego

skutku, ponieważ kobieta zażądała, żeby lekarz przyjechał jak najszybciej.

Tym razem długo musiała czekać przed wejściem, a kiedy drzwi się otworzyły, ujrzała Irene na podłodze, na czworakach. Kobieta wyglądała koszmarnie i Giselle pomyślała, że nareszcie jej pragnienia się ziściły: naprawdę jest chora.

– Co się pani stało? – spytała, ostrożnie pomagając jej się podnieść.

– Nie wiem – jęknęła Irene. – Dopadło mnie to w środku nocy, kiedy chciałam pójść do toalety. Nie mogłam zrobić kroku, nie mogłam się ruszyć. Mieszkam sama. Nie ma nikogo, kto by mógł się mną zająć. Muszę jechać do szpitala.

– Zbadam panią i zdecydujemy, dobrze? – odrzekła Giselle. – Czy dawniej miała pani kłopoty ze wstawaniem z łóżka? – spytała.

– Och tak. Zawsze było mi bardzo trudno.

– Tak przypuszczałam. Zrobimy badanie krwi, sprawdzimy próbę sedymentacji erytrocytów, tak zwany opad. Wskaże, czy w organizmie jest stan zapalny. Zaraz pobiorę krew i zawiozę do analizy.

– Co to może być?

– Polimialgia reumatyczna, czyli stan zapalny mięśni – wyjaśniła Giselle. – Ta choroba występuje u kobiet po pięćdziesiątym roku życia i uznawana jest za stosunkowo rzadką, chociaż zetknęłam się z kilkoma przypadkami. Początek jest bardzo nieprzyjemny, związany z silnymi bólami, ale kiedy pacjentka zaczyna przyjmować sterydy, odczuwa ulgę. Jeśli moja diagnoza się potwierdzi – ciągnęła – nie będzie pani musiała iść do szpitala. Niemniej przyjmowanie sterydów wymaga stałej kontroli lekarza, więc będziemy się często widywały.

Humor Irene wyraźnie się poprawiał.

– Zawsze chciałam brać sterydy – oznajmiła. Czy będzie zadowolona z objawów ubocznych, wzrostu wagi, pełniejszej twarzy, dodatkowego owłosienia? – zastanawiała się Giselle. Szybko pobrała Irene krew do analizy i zawiozła do lecznicy, by

jak najszybciej wysłano ją do laboratorium.

Kiedy po raz drugi wsiadała do samochodu, usłyszała wesoły dźwięk dziecięcych głosów. Podniosła głowę i po drugiej stronie ulicy zobaczyła klasę szkolną maszerującą na jakąś wycieczkę. Dzieci wyglądały na rówieśników Alice i rzeczywiście, w grupie dostrzegła córeczkę Marca wymachującą do niej ręką i uśmiechającą się szczerbato. Gdy dziewczynka zobaczyła, że Giselle na nią patrzy, z dumą pokazała brak zęba, który jeszcze wczoraj, kiedy przyszli z Tomem do Abbeyfields, tkwił na swoim miejscu.

Giselle ogarnęła falą czułości. Alice była takim słodkim, prostolinijnym dzieckiem. Siłą woli powstrzymała się, by nie wysiąść i nie porwać jej w ramiona. Nauczycielce i ja pewno by się to nie spodobało, a poza tym wciąż brzmiały jej w głowie słowa Margaret Pollard, skierowane do niej poprzedniego dnia. Dlatego po pracy została trochę dłużej, by przyjechać do Abbeyfields razem z Markiem i nie mieć czasu na zabawę z dziećmi.

– Nie musisz unikać spotkania z Tomem i Alice – rzekł, odgadując jej intencje. – Będą jeszcze bardziej zdezorientowani, jeśli nagle ograniczysz kontakty z nimi.

Giselle westchnęła.

– Intencje dobre, ale skutki złe, prawda? Bardzo lubię przebywać z nimi, ale szanuję to, co powiedziała ich babka. Rozumiem jej racje. Rozumiem racje wszystkich, twoje, jej, ojca, tylko nikt nie rozumie moich.

– Ja rozumiem – zaprzeczył ostrym tonem. – Gdybym nie rozumiał, znacznie częściej byś mnie widywała.

– Co? Jeszcze częściej niż teraz? – zażartowała.

– Tak. Jeszcze częściej.

Tym razem Giselle jechała do domku położonego w połowie wzgórza. Całkiem niedawno kupiło go młode małżeństwo i zaraz po zamieszkaniu w nim zarejestrowało się w lecznicy Marca. Teraz zaś młodzi oczekiwali dziecka.

Dziś zadzwonili i poprosili o wizytę domową, ponieważ przyszła matka skarżyła się na bóle żołądka. Giselle była właśnie

w drodze do niej, kiedy nagle pod stromym urwiskiem dojrzała nieruchomą postać.

Natychmiast stanęła na poboczu drogi, w którą właśnie skręciła, wyskoczyła z samochodu i pochyliła się nad leżącym na ziemi mężczyzną w średnim wieku, ubranym jak na wędrowkę po górach. Żył, był przytomny, lecz twarz miał tak zieloną jak trawa wokoło. Widząc Giselle, jęknął:

– Nogi! Chyba obie złamane...

– Moment – rzuciła i pobiegła do samochodu po torbę lekarską i telefon. – Co się stało? – spytała, wracając.

– Wybrałem się na wycieczkę granią. Było bardzo przyjemnie, podziwiałem widoki, rozkoszowałem się czystym powietrzem, kiedy nagle za plecami usłyszałem stuk kopyt. Obejrzałem się i zobaczyłem stado jeleni pędzących wprost na mnie. W panice uskokczyłem w bok. Zapomniałem, że ścieżka biegnie tuż przy krawędzi, i spadłem.

– Już w porządku, jestem lekarką. – Giselle starała się go uspokoić. – Proszę się nie ruszać.

– Nawet gdybym bardzo chciał, nie mogę – odparł.

– Najpierw wezwę pogotowie – rzekła Giselle – i zaraz pana zbadam. Odczuwa pan ból w plecach?

– Straszny. Nie zdziwiłbym się, gdybym był cały pogruchotany.

– Dam panu zastrzyk ze środkiem przeciwbólowym – uprzedziła – potem rozetnę nogawki, żeby obejrzyć nogi.

Oba kolana były zmiażdżone. Przypuszczalnie spadając, mężczyzna podwinął nogi i upadł właśnie na kolana. Gdyby nie wylądował na trawie, byłoby jeszcze gorzej.

Tymczasem zaczął tracić przytomność. Giselle nerwowo spojrzała na zegarek. Nagle usłyszała warkot silnika. To nie może być jeszcze pogotowie, od jej telefonu minęło dopiero dziesięć minut. Podniosła głowę i ku swojemu zdumieniu zobaczyła auto Marca.

– Co się stało? – spytał, zatrzymując się.

– Ten mężczyzna wędrował po górach i nagle usłyszał za sobą

stado pędzących jeleni. Przestraszył się, uskoczył w bok i spadł z urwiska.

– Powinien był wiedzieć, że są płochliwe i bardziej złąkną się jego niż on ich.

– Może nie mieszka na wsi i nie ma takiego doświadczenia? Ja zachowałabym się podobnie – odrzekła. – Serce bije w miarę regularnie – informowała, kiedy Marc uklęknął przy leżącym i ujął jego rękę, by zbadać puls – ale przy takich obrażeniach, jakich doznał, trudno powiedzieć, czy długo wytrzyma.

W tej samej chwili mężczyzna otworzył oczy.

– Reszta wycieczki... – wymamrotał. – Będą się zastanawiać, gdzie jestem.

– To nie był pan sam?

– Nie. Odłączyłem się od grupy, bo jak dla mnie szli za wolno.

– Co zrobimy? – Giselle spojrzała na Marca.

– Nic – odparł spokojnie. – Wrócą do bazy, myśląc, że idzie przodem. Tymczasem on już trafi na wypadkowy. Kiedy zadzwonią na policję zgłosić jego zaginięcie, dowiedzą się, że jest w szpitalu. Nasze zadanie to zapewnić mu pomoc medyczną. – W tej samej chwili z oddali dobiegł sygnał karetki. – To chyba pogotowie...

Nie pomylił się. Ratownicy medyczni związali mężczyźnie nogi, by je unieruchomić, potem ostrożnie położyli go na długiej desce ortopedycznej do transportu rannych, przenieśli do ambulansu i natychmiast odjechali.

– Jak to się stało, że właśnie ty go znalazłaś?

– spytał Marc, kiedy zostali sami.

– Jechałam do domu stojącego na końcu tej drogi – wyjaśniła Giselle. – Kobieta, czwarty miesiąc ciąży, bóle żołądka. Mam nadzieję, że zrozumie, dlaczego się spóźniam.

– W takim razie nie zatrzymuję cię. Ale przedtem chciałem zapytać, czy nie przyszłabyś do nas w niedzielę na lunch?

Giselle zrobiła wielkie oczy. Co to ma znaczyć?

– Dziękuję za zaproszenie, ale jednak nie – odparła. – Wiesz, po tym, co wczoraj usłyszałam od twojej teściowej, ta propozycja

jest ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewałam.

– Właśnie dlatego cię zapraszam – wyznał z cierpkim uśmiechem. – Wiem, że Margaret popełniła gafę, i chcę ją naprawić.

– Właśnie w taki sposób? Przecież tylko pogorszysz sprawę. ^{VI}

– Chcę udowodnić Margaret i wszystkim zainteresowanym, że to ja decyduję o swoim życiu. Poza tym jeden wspólny lunch nie sprawi, że dzieci będą bardziej za tobą tęsknić, kiedy wyjedziesz. Więc jak? Przyjdiesz?

Nagle powróciło wspomnienie Alice machającej do niej ręką i pokazującej szczerbę w buzi. Pokusa spędzenia niedzielnego popołudnia z nią i Tomem była silniejsza.

– Przyjdę. Przekonałeś mnie. Marc rozpromienił się.

– Wspaniale! – wykrzyknął i z przekornym błyskiem w oku spytał: – Potrafisz posługiwać się otwieraczem do konserw?

Młoda kobieta, która wezwała lekarza do domu, uśmiechnęła się przepraszająco.

– Podejrzewam, że to była po prostu niedyspozycja żołądkowa. W ciągu ostatniej godziny kilkakrotnie chodziłam do toalety i teraz czuję się już dobrze.

– To świetnie – ucieszyła się Giselle – ale skoro tu jestem, zbadam panią. Tak na wszelki wypadek. Czy zauważyła pani plamienie?

– Nie.

– Na pewno? Nawet nieznaczne?

– Na pewno.

– To dobra wiadomość. Wolałabym się jednak upewnić, że macica i szyjka macicy odpowiadają normie dla tego stadium ciąży, więc chciałabym panią zbadać.

Po dokładnym badaniu Giselle poinformowała przyszłą matkę:

– Ciąża przebiega prawidłowo. Wygląda na to, że dzisiejsze dolegliwości to rzeczywiście jakieś zaburzenia gastryczne. Ale proszę zachować ostrożność. Jeśli pojawi się plamienie albo poczuje pani skurcze, proszę mnie natychmiast wezwać.

– Obiecuję, że tak zrobię. To moje pierwsze dziecko i nie

chciałabym go stracić. Tak się cieszę, że w lecznicy zaczęła pracować kobieta – dodała. – Jak się zapisywaliśmy, nie widziałam pani nazwiska.

– Kiedy to było?

– Pół roku temu.

– Wtedy jeszcze tu nie pracowałam. Dopiero niedawno zamieszkałam w Anglii.

– A gdzie mieszkała pani przedtem?

– W Paryżu.

– Och! Jak pani zazdrośczone! Miała pani szczęście.

Kiedy drzwi domu się za nią zamknęły, Giselle przystanąła na chwilę.

Tak. Miałam szczęście mieszkać w Paryżu, pomyślała. Ale czy teraz czułabym się szczęśliwa, gdybym tam wróciła i zostawiła tutaj pewnego lekarza z dwójką dzieci oraz odrzuciła szansę zostania wiejskim lekarzem omnibusem, wiodącym życie pełne najprzeróżniejszych niespodzianek?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W sprawie Franka Fairbanka były dwie wiadomości, jedna dobra, druga zła. Dobra – rak nie rozprzestrzenił się, zła – chorego czeka radioterapia i dopóki skóra się nie wygoi, musi poruszać się o kulach.

Kiedy Toby zadzwonił do lecznicy z wiadomością, że ojciec jest już w domu, Marc pojechał na farmę. Zastał tam bardzo sympatyczną kobietę w średnim wieku, która przedstawiła się jako Mary, opiekunka domowa.

Rozglądając się dookoła, przypomniał sobie słowa Toby'ego o trudnościach ze znalezieniem czystego kubka. Teraz, dzięki Mary, dom zmienił się nie do poznania. Wspaniale, że to się stało właśnie teraz, kiedy Frank jest w takim kiepskim stanie, pomyślał.

– Frank jest w pokoju na dole – oznajmiła Mary. – Właśnie zaparzyłam herbatę. Napije się pan, panie doktorze? – zaproponowała.

– Dziękuję. Z przyjemnością.

Frank siedział przy oknie, zajęty rozwiązywaniem krzyżówki. Wyraźnie ucieszył się na widok gościa.

– Ach, Marc! Chodź tu, chodź!

– Jak się czujesz, przyjacielu? – spytał Marc.

– Boli mnie po naświetlaniu i dopóki skóra się nie wygoi, nie mogę używać sztucznej nogi. – Frank wskazał protezę leżącą na komodzie, przewiazaną kolorową wstążką i ozdobioną dużą kokardą. – Cała Mary – dodał. – Stara się jak może mnie rozweselić.

– A jej córka? Czy nadal przychodzi pomagać w sprzątanii?

– Tak. Ona z kolei stara się rozweselić mojego chłopaka.

– Wygląda na to, że znaleźliście nie jeden skarb, a dwa – zażartował Marc. – To te panie nie mają mężów, o których muszą zadbać? – spytał.

– Nie. Mary jest wdową, natomiast Denise jeszcze nie wyszła

za męż. Mieszka z matką.

– Aha. Rozumiem.

– Nic nie rozumiesz – zirytował się Frank. – One nawet nie spojrzą w naszą stronę. Ja, kaleka z jedną nogą, a Toby ciągle zajęty brudną robotą, cuchnący oborą.

– Nie ciągle i nie cuchnący! – Marc zaczął się z nim przekomarzać. – I pamiętaj, jeśli będzie ci potrzebny drużba, możesz na mnie liczyć.

– Daj spokój... – zaczął Frank, lecz zamilkł, ponieważ do pokoju weszła Mary z tacą.

Kiedy wypili herbatę, Marc przystąpił do rzeczy.

– Chciałbym zobaczyć, co oni ci tam zmajstrowali – powiedział, a obejrzwawszy bliznę w kroczu Franka, stwierdził: – Bardzo ładna robota. Wygląda zupełnie jak przed operacją. Tylko mała blizna i oczywiście ślady po naświetlaniu, ale to się wygoi i wtedy przyjdzie pora odwiązać kokardę z protezy.

– Oby – mruknął Frank.

Kiedy w niedzielę w porze lunchu Giselle zjawiała się w domu Marca, nadzwyczaj przejęta Alice, z rumieńcami na policzkach, chwyciła ją za rękę i wciągnęła do środka.

– Nakryłam do stołu – pochwaliła się i wskazując brata, który kręcił się koło drzwi do kuchni, dodała:

– A Tom łuskał groszek i pokroił marchewkę.

– Czuję się zaszczycona – rzekła Giselle.

– I słusznie – wtrącił Marc, stając za synem. – Od śmierci ich matki nikogo nie przyjmowaliśmy. Jesteś naszym pierwszym gościem.

– Naprawdę? – rzekła poważnym tonem, starając się nie doszukiwać w tym fakcie żadnego specjalnego znaczenia.

Marc spojrzał na nią z rozbrajającym uśmiechem, a Giselle przypomniała się ich rozmowa, kiedy w odpowiedzi na jej wątpliwości, czy ze względu na dzieci powinna przyjąć zaproszenie, odrzekł: „Jeden wspólny lunch nie sprawi, że dzieci będą bardziej za tobą tęsknić”. Nie powiedział jednak, że od śmierci Amandy nie przyjmowali gości. Oboje doskonale

wiedzieli, że to całkowicie zmienia postać rzeczy.

Ale skoro już tu jestem, nie dopuszczę, żeby cokolwiek zepsuło dzieciom frajdę, pomyślała. Wyraźnie się ucieszyły, że mają gościa i że tym gościem jestem ja. Cóż mi pozostaje? Postanowiła jak najlepiej wywiązać się ze swojej roli.

Głos Marca przerwał jej rozmyślenia.

– Potrafisz zagaścić sos do pieczenia? – pytał.

– Mnie zawsze robią się grudki. A Francuzi uchodzą przecież za mistrzów gotowania – dodał.

Giselle przeszła za nim do kuchni, gdzie pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, była leżąca na półmisku pięknie upieczona soczysta pieczeń wołowa. Przez szklane drzwiczki piekarnika widać było tradycyjnie podawany do wołowiny, przypominający małe babeczki, pudding Yorkshire.

– Skoro potrafisz zrobić pudding, to powinieneś umieć też zagaścić sos – skomentowała.

– Zdradzę ci sekret. Pudding i deser kupiłem gotowe – przyznał się. – Ale wszystko poza tym to moje dzieło.

– Wygląda wybornie – pochwaliła i uśmiechnęła się do niego. Bliskość Marca dziwnie na nią działała.

Nie odwzajemnił uśmiechu, a w jego oczach dostrzegła błysk, który sprawił, że poczuła, iż jakaś niewidzialna siła popycha ją ku niemu. Już raz widziała w jego spojrzeniu ten sam magnetyzm. To było tego wieczoru, kiedy ją pocałował. Wówczas, w ramionach Marca, zapomniała o całym świecie.

– Zabieramy się do robienia sosu? – spytała schrypniętym głosem.

– Oczywiście... oczywiście – odpowiedział, jak gdyby w roztargnieniu.

Podczas lunchu, ku zadowoleniu Giselle, dzieci zdominowały rozmowę. Jedzenie było wyśmienite, Tom i Alice zaprezentowali nienaganne maniery, za to Marc cały czas zachowywał się tak samo dwuznacznie jak przedtem w kuchni.

To nie fair, buntowała się w duchu. To miał być rodzinny lunch. Co go opętało?

– Przestań! – powiedziała, kiedy dzieci poszły do ogródka się bawić, a oni zajęli się sprzątaniami.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi...

– Nie udawaj, że nie wiesz, o co mi chodzi – burknęła. – Zwabiłeś mnie tu podstępem.

– Nieprawda. Dotknąłem cię? Nie. Więc czego ode mnie chcesz?

– Nie musisz mnie dotykać rękami. Twoje oczy robią to przez cały czas. Za każdym razem, kiedy na ciebie spojrzę, pieścisz mnie wzrokiem!

– A ty sobie tego nie życzysz...

– Nie! Tak! Już sama nie wiem. Celowo wprawiasz mnie w zakłopotanie, a to nie fair. Obiecywałeś, że to będzie rodzinny lunch.

Marc westchnął.

– Wiem. Przepraszam. Kiedy cię zobaczyłem, nie mogłem się opanować. Zrobiłaś na mnie piorunujące wrażenie. Zupełnie nie byłem na to przygotowany.

– Przecież widujesz mnie całkiem często.

– Ale nie tutaj. Tutaj byłaś tylko raz. Kiedy w kuchni znalazłem się tak blisko ciebie, wspomnienie tamtej wizyty powróciło z niezwykłą intensywnością. Chcę się z tobą kochać, Giselle. Tak bardzo cię pragnę, że o niczym innym nie mogę myśleć. Jeszcze nigdy w życiu żadna kobieta nie wzbudzała we mnie takich uczuć.

– A twoja żona? Ona nie wywoływała w tobie podobnych pragnień?

– Też nie. Innym razem opowiem ci o Amandzie. Giselle serce załomotało w piersi.

– I dokąd nas to zaprowadzi? Wiesz, że nie mam zamiaru tu zostawać. Pragniesz romansu? Proponujesz, żebyśmy skoczyli na górę, licząc na to, że dzieci nam nie przeszkodzą?

Nie wierzyła, że tak chłodno może rozmawiać z Markiem o wzajemnej fizycznej fascynacji, jaką do siebie poczuli. Wiedziała, że gdyby w tym momencie musnął ją tylko dłonią, natychmiast by mu uległa.

– Nie. Nie pragnę przelotnego romansu – zaprzeczył przez zęby. Zdołał już zapanować nad zmysłami. – Chcę od ciebie znacznie głębszego zaangażowania, a jeśli sądzisz, że ryzykowałbym, że dzieci nas zobaczą, nie znasz mnie. Na miłość boską, wracaj, skąd przyjechałaś! – wybuchnął. – Mam dość słuchania, że jesteś tu tylko na krótko. Jeśli ciągnie cię do tego... francuskiego gogusia, życzę powodzenia!

– Nie obrażaj mnie! – syknęła ze złością. – Mam tego dość! Wychodzę!

– Proszę bardzo, ale nie zapomnij pożegnać się z dziećmi.

– Sądzisz, że mogłabym postąpić inaczej?

– Ja się tylko upewniam.

Tom i Alice, pochłonięci zabawą, nie zauważyli napięcia między dorosłymi. Marc z zaciętym wyrazem twarzy odprowadził Giselle do drzwi, potem cofnął się do środka i zaczął rozmyślać o tym, co się między nimi wydarzyło.

Giselle za żadne skarby świata nie chciała wracać do domu i odpowiadać na pytania ojca, dlaczego zjawiała się tak wcześnie. Musiała pobyc trochę w jakimś spokojnym miejscu, gdzie mogłaby uporządkować myśli. Jakie miejsce nadawało się do tego celu lepiej niż okoliczne wzgórza? Ta przestrzeń, ta cisza! A jeszcze nie tak dawno temu chciała uciekać od tej wiejskiej sielanki!

Marc mnie odprawił, myślała z gniewem, jadąc drogą prowadzącą na grań. Jak on śmiał? Zgoda, może o jeden raz za dużo powiedziałam, że nie mam zamiaru zostawać w Cheshire, ale kim on jest, żeby mi mówić, kiedy mam wyjechać, a kiedy zostać?

Poza tym jeszcze nie mogła nigdzie się ruszyć. Ojciec był szczęśliwy, że znowu mieszka w Abbeyfields, lecz zanim go zostawi samego, musi poczekać, aż nabierze sił i całkiem okrzepnie. W ostatnich miesiącach życia matki oboje spędzili wiele nieprzespanych nocy. Ostatnią prośbą Celeste było, by Giselle zaopiekowała się ojcem.

Zauważyła, że świeże powietrze i spokój otoczenia już zaczęły

przynosić efekty. Philip nie był już taki blady jak zaraz po przyjeździe, odrobinę nawet przytył, lecz wolała jeszcze zaczekać z wyjazdem. Po dzisiejszym dniu nie była wcale taka pewna, czy w ogóle chce stąd wyjeżdżać.

Zatrzymała samochód na skraju urwiska, oparła głowę na kierownicy i wybuchnęła płaczem. Gdyby mama tu była, gdybym mogła otworzyć przed nią serce, myślała z żalem. Ale gdyby matka żyła, problem w ogóle by nie istniał. Ojciec byłby szczęśliwy we Francji, a ona nie błąkałaby się po bezdrożach, szukając lekarstwa na swoje duszne rozterki.

Nie wiedziała, jak długo siedziała w samochodzie, mając za towarzystwo jedynie zabłąkaną owcę pasącą się obok. Kiedy się ocknęła, wrześnie słońce chyliło się ku zachodowi. Nagle ktoś zastukał w szybę samochodu. Odwróciła głowę i zobaczyła przed sobą ogorzałą twarz starego farmera.

– Dobrze się pani czuje? – spytał, kiedy opuściła szybę.

– Tak... – wybąkała, lecz zabrzmiało to niezbyt przekonująco. Mężczyzna spojrzał wymownie na skraj urwiska i nagle doszło do niej, że może pomyślał, iż ma zamiar popełnić samobójstwo. – Zatrzymałam się, bo... bo chciałam pobycć chwilę sama – dodała.

– Rozumiem... Zaraz, zaraz... To pani jest tą nową lekarką?

– Tak.

– Ciężki kawałek chleba. My tu mamy szczęście, że trafił się nam ktoś taki jak doktor Bannerman.

– Giselle westchnęła. Przyjechała aż na sam szczyt, by uciec przed Markiem, lecz nie udało się. – No, czas na mnie – rzekł farmer. – Pomyślałem, że lepiej sprawdzę, czy nic się pani nie stało.

No tak. Tu wszyscy troszczą się o wszystkich. Nawet ten człowiek mieszkający na obrzeżach miasteczka, nawet on należy do tej wspólnoty, przed którą tak się bronię.

Sos do pieczeni jako afrodyzjak, pomyślał Marc ze szczyptą autoironii. Wszystko szło gładko, dopóki Giselle nie stanęła obok niego w kuchni. Wówczas to wrócił palący trzewia ból, ogarnęła go fala tęsknoty i pożądania. Zapragnął objąć ją, przyciągnąć do

siebie... Zamiast zapanować nad emocjami, pozwolił im się zdominować, a kiedy nie rzuciła się w jego ramiona, dysząc z pożądania, kazał jej wracać tam, skąd przyjechała.

Podczas gdy dzieci bawiły się bez troski w ogródku, on chodził z pokoju do pokoju, nie mogąc usiedzieć w miejscu. Od śmierci Amandy nie spojrzał na żadną kobietę, żadna go nie pociągała, aż do czasu, kiedy na scenie pojawiła się Giselle. Dlaczego nie spodobała mu się jakaś kobieta z okolicy, prostolinijna, bardziej otwarta, nie tęskniąca za daleką metropolią?

Dał dzieciom podwieczerek i wciąż wściekły na siebie, że zepsuł niedzielny lunch z Giselle, postanowił, że koniecznie musi się z nią zobaczyć.

W tej samej chwili zadzwonił telefon.

– Tu Philip – usłyszał w słuchawce. – Może nazwiesz mnie starym panikarzem, ale czy Giselle wciąż jest u ciebie? Powiedziała, że wróci późnym popołudniem i pomyślałem, że albo tak dobrze się bawi z wami, że straciła poczucie czasu, albo pojechała jeszcze gdzieś, ale to do niej niepodobne.

– Tutaj jej nie ma – odparł Marc powoli. – Wyszła całkiem dawno. Sądzę, że jedzie do Abbeyfields.

– W takim razie gdzie jest? – spytał Philip mocno zaniepokojony, a Marc oczyma wyobraźni ujrzał Giselle na pokładzie samolotu lecącego do Paryża. Wiedział jednak, że nie uczyniłaby niczego podobnego. Jej poczucie odpowiedzialności było zbyt silne, by zostawić ojca i zniknąć bez słowa. – Komórkę ma wyłączoną, więc nie mam z nią żadnego kontaktu – ciągnął Philip.

– Zaraz u ciebie będę – rzucił Marc i dodał: – Nie mam co zrobić z dziećmi, więc zabiorę je ze sobą.

Zapadły już ciemności, a kiedy pakował dzieci do samochodu, ogarnęły go wyrzuty sumienia. Dlaczego sądzę, że zniknięcie Giselle ma coś wspólnego ze mną?

Philip czekał na nich na ganku.

– Wciąż nie ma żadnej wiadomości od Giselle – brzmiały jego pierwsze słowa.

– Tato, czemu przyjechaliśmy tutaj, zamiast położyć się spać? – marudnie dopytywała się Alice, ciągnąc go za rękaw.

– Później ci wszystko wytłumaczę – burknął.

– Posiedźcie tu i pooglądajcie telewizję. Jeśli pan Howard pozwoli.

W tej samej chwili rozległ się dzwonek telefonu. Ojciec Giselle podniósł słuchawkę. Po pierwszych słowach na jego twarzy odmalowało się uczucie ulgi.

– To ona – relacjonował na bieżąco. – Wybrała się na przejażdżkę, ale już zmierza w kierunku domu. Za kilka minut będzie. – Urwał, słuchając uważnie Giselle, potem wyjaśnił: – Rozmawiam z Markiem, kochanie. Kiedy dowiedział się, że cię nie ma, natychmiast przyjechał. – Znowu nastąpiła krótka przerwa w rozmowie, potem Philip rzekł: – Może i niepotrzebnie, ale wolałem tak postąpić... Dobrze, powiem mu. – Philip odłożył słuchawkę i zwrócił się do Marca: – Giselle mówi, że nie ma potrzeby, żebyś na nią czekał. Nic jej nie jest. Nie chce ci sprawiać kłopotu.

Marc odpowiedział kiwnięciem głowy. Zrozumiał. Gdziekolwiek Giselle się podziewa, nie życzy sobie spotkania z nim.

– Dzieci! Idziemy – zarządził, a zwracając się do Philipa, dodał: – Najważniejsze, że się odnalazła.

– Przepraszam cię, tato, że nie zadzwoniłam wcześniej... – skruszona Giselle zaczęła się usprawiedliwiać.

Philip uśmiechnął się dobrodusznie.

– Tym razem ci daruję. Gdzie się podziewałaś? Telefonowałem do Marca zapytać, czy wciąż u niego jesteś, a on powiedział, że wyszłaś już dawno, więc zacząłem się denerwować.

– Przemówiliśmy się. – Giselle westchnęła. – Pojechałam na górę na wrzosowiska i obawiam się, że straciłam poczucie czasu. Dopiero kiedy słońce zaczęło zachodzić, zorientowałam się, że zrobiło się późno.

– Wydawało mi się, że jesteście z Markiem w dobrych stosunkach.

– Tak. To znaczy... Widzisz, chodzi o to, że on chce, żebym tu została.

– Dlaczego tak mu na tym zależy? Podobasz mu się?

– Coś w tym rodzaju.

– A ty nie odwzajemniasz jego uczuć.

– Sama nie wiem.

– Sprawa jest prosta. Jeśli ci na nim zależy, zostaniesz. Ale tylko ty sama możesz podjąć decyzję. Ja nie będę się starał wywierać na ciebie żadnej presji. Wiesz o tym, prawda?

Giselle podeszła i uścisnęła go.

– Wiem, tato. Przynajmniej jeśli o ciebie chodzi, wiem, na czym stoję.

– Bo jestem twoim ojcem. – Philip uśmiechnął się i ciągnął: – Marc to wspaniały człowiek. Naprawdę rzadkiej prawości. Zresztą przepraszam, sama doskonale o tym wiesz, a ja miałem niczego ci nie sugerować.

– Och tato! Widzę, że dołączyłeś do grona wielbicieli doktora Bannermana. Nawet pewien stary farmer, którego spotkałam tam na górze, też go wychwalał pod niebiosa. Odnoszę wrażenie, że wszyscy sprzysięgli się, żeby mnie tutaj zatrzymać.

– Mylisz się. Masz swój rozum i we właściwym czasie sama podejmiesz decyzję. Nie musisz siedzieć tutaj ze względu na mnie. Czuję, że znowu zapuściłem tu korzenie i jest mi dobrze. Teraz pragnę, żebyś ty była szczęśliwa. Wyrzucam sobie, że nie wziąłem pod uwagę twoich uczuć, kiedy wysyłałem cię na tę aukcję.

– Dobrze jest, jak jest, tato. Niczego nie chciałabym zmieniać i nigdzie się nie wybieram. Przynajmniej na razie. Po prostu nie spodziewałam się spotkać kogoś takiego jak Marc.

– Skoro między wami się nie układa, to będziesz dalej pracować w lecznicy?

– Tak. Jeśli tylko on nadal będzie mnie chciał. Poza wszystkim, co innego mogę robić? I lubię pracować jako wiejski lekarz.

– Czy Giselle się na nas gniewa? – spytała Alice po powrocie do domu. – Nie chciała się z nami widzieć, prawda?

– Nie, kochanie, nie gniewa się ani na ciebie, ani na Toma. Giselle nigdy nie złościłaby się na was – zapewnił ją Marc łagodnie. – Obawiam się jednak, że ja trochę się jej naraziłem.

– Czemu? – Alice koniecznie chciała się dowiedzieć.

– Ponieważ chcę, żeby została w naszym miasteczku.

Alice buzia wykrzywiła się w podkówkę.

– Nikt nam nie powiedział, że wyjeżdża.

– To nie będzie tak szybko. Giselle wyjedzie dopiero wtedy, kiedy uzna, że może zostawić pana Howarda samego. – Marc starał się pocieszyć córkę.

Może i dobrze się stało, pomyślał. Dzieci będą mniej więcej przygotowane na najgorsze.

– Gdyby została, mogłaby być naszą mamą...

– Tom przyłączył się do rozmowy.

– Moglibyśmy ją poprosić, żeby nie wyjeżdżała – rzekła Alice i oczy jej zabłyśły z radości, że wpadła na tak znakomity pomysł. – Obiecalibyśmy Giselle, że będziemy zawsze grzeczni i nie sprawimy żadnego kłopotu.

Od czasu nagłego wyjścia Giselle Marc czuł się jak zbity pies, a rozmowa z dziećmi nie poprawiła mu nastroju. Serce mu się kroilo na myśl o tym, jak bardzo im zależy na zatrzymaniu Giselle. Zanim się pojawiła, całkiem dobrze żyło im się we trójkę, ale teraz wszystko się zmieniło.

Na samą myśl o tym, że Tom i Alice mogliby powtórzyć Giselle to, co przed chwilą powiedzieli jemu, oblał się zimnym potem. Przecież Giselle gotowa pomyśleć, że wykorzystuje dzieci w swojej sprawie!

Objął Toma i Alice i przyciągnął do siebie.

– Wiem, że wszyscy bardzo byśmy pragnęli, żeby Giselle tutaj zamieszkała – zaczął – ale ona też musiałaby być z tym szczęśliwa, prawda? – Dzieci z powagą skinęły głowami. – A Giselle tęskni za swoim domem. Więc proszę, żebyście nie powiedzieli jej ani słowa, dobrze? Giselle musi sama zdecydować, co robi.

Marc nie mógł wiedzieć, że w tej samej chwili Philip Howard

dokładnie to samo mówi swojej córce. Nie wiedział również, że na obraz paryskiego mieszkania, do którego tęskniła od chwili wyjazdu z Francji, nałożyła się teraz w myślach Giselle jego podobizna, jego głos, jego charyzma, wszystko, kim był.

– Pamiętajcie – ciągnął – ani słowa. Obiecujecie?

– Obiecujemy – odrzekli chórem.

Nie powinienem był pozwolić, żeby się aż tak przywiązali do Giselle, wyrzucał sobie Marc. Muszę zachować wobec niej dystans, nawet jeśli wiele będzie mnie to kosztowało.

Marc już dwukrotnie przygotowywał się na to, że w poniedziałek rano Giselle nie pokaże się w lecznicy po konfrontacji z nim, i dwukrotnie się pomylił. Wbrew jego obawom, i w ten poniedziałek zjawiała się w pracy nawet przed nim, chociaż blada i z podkrążonymi oczami.

Gdyby stosunki między nimi nie były tak napięte, spytałby, czy dobrze się czuje, ale dzisiaj nie odważył się odezwać. Doskonale wiedział, że przyczyną tego stanu jest on sam. W ciągu przedpołudnia zauważył, że Giselle go unika. Zgodnie z wczorajszym postanowieniem zachowywał się podobnie i zaczynał rozmowę wyłącznie wtedy, kiedy musiał.

– Czuć w powietrzu elektryczność – skomentował Craig, kiedy w przerwie przed wizytami domowymi Giselle zabrała kawę do gabinetu, zamiast jak zwykle przyłączyć się do nich.

Marc zbył jego uwagę milczeniem. Szybko opróżnił kubek, wsiadł do samochodu i odjechał.

Wrzesień miał się ku końcowi. Słońce grzało słabiej, noce stawały się chłodniejsze. Impas we wzajemnych stosunkach między Giselle i Markiem trwał nadal. Po szkole dzieci jak zawsze przychodziły pobawić się w Abbeyfields, potem jak zawsze odbierał je ojciec, ale teraz nigdy nie zostawał dłużej. Tom i Alice sprawiali wrażenie beztroskich, lecz Giselle wyczuwała w ich zachowaniu rezerwę, jak gdyby oddalili się od niej. Nie byli już tacy rozmowni, a kiedy się odzywali, zwracali się do niej niezwykle uprzejmie. Doszła do wniosku, że Marc uprzedził ich,

że znajomość z nią jest w ich życiu tylko krótkim epizodem.

Jeśli to uczynił, nie obwiniała go. Gdyby była na jego miejscu, postąpiłaby podobnie, niemniej było jej przykro.

Powtarzała sobie, że gdyby przyznała się do miłości do Marca, historia jej rodziców nie powtórzyłaby się. Jej ojciec przeniósł się do Francji dla matki, a ze zmianą pracy nie miał problemu, po prostu postarał się o oddelegowanie do francuskiego oddziału swojej firmy. A jednak, kiedy Celeste zmarła, natychmiast wrócił.

W przypadku Marca sytuacja była bardziej skomplikowana. Miał dwójkę dzieci i nie chciałby wyrywać ich ze środowiska, które znały i w którym czuły się bezpieczne. Miał praktykę lekarską, w którą włożył wiele serca, pacjentów, których kochał i którzy go cenili i kochali.

Nasuwało się też inne wyjście, zresztą bardzo łatwe i proste, lecz nie chciała brać go pod uwagę.

W tym trudnym dla obojga okresie pojawił się promyk słońca. Nie w ich życiu, ale w życiu innych ciężko doświadczonych przez los ludzi. Cała okolica mówiła tylko o jednym: szykuje się podwójny ślub! Ojciec i syn żenią się z matką i córką!

– To była miłość od pierwszego wejrzenia – Frank zwierzył się Marcowi, podczas kolejnej wizyty kontrolnej. – Ani ja, ani Toby nie przypuszczaliśmy, że kiedykolwiek spodobamy się jakiejś kobiecie. Ja, bo mam jedną nogę i nie jestem już pierwszej młodości, a mój chłopak zawsze był tak zavalony robotą, że nie miał okazji poznać żadnej panny. Ale Mary i Denise potrafiły spojrzeć na nas bez uprzedzeń. Dom podzielimy – ciągnął – ale dopiero po ślubie. Obiecałem Mary, że jak tylko będę mógł przypiąć protezę, poprowadzę ją do ołtarza. I co? – Wyciągnął nogę i czule poklepał. – Udało się. – Kiedy Marc zbierał się do wyjścia, Frank zwrócił się do niego z pytaniem: – Zrobisz coś dla mnie?

Marc uśmiechnął się, zadowolony, że życie tych dwóch samotnych mężczyzn nareszcie zaczęło się układać.

– Oczywiście. O co chodzi?

– Pamiętasz, jak obiecałeś, że będziesz moim drużbą? Tylko

teraz jest nas dwóch.

– Cała przyjemność po mojej stronie. I to podwójna – zapewnił go Marc.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Po wizycie u Franca Marc z lżejszym sercem wracał do lecznicy. Cieszył się, że w miasteczku odbędzie się huczny ślub, a on i dzieci będą jednymi z głównych gości. Nareszcie wydarzy się coś, co przełamie monotonię życia bez Giselle.

– Przyrowadź ze sobą dzieci – nalegał Frank – i oczywiście załatw sobie jakąś pannę – dodał.

Spytał także Marca, czy jego teść będzie czuł się na tyle dobrze, by móc wziąć udział w uroczystości, lecz Marc odparł:

– Możliwe, ale Stanley bardzo się posunął. Postanowił przejść na emeryturę, ale jak wiesz, na razie mam zastępstwo.

Na jak długo, nie potrafił przewidzieć, a od czasu, gdy powiedział Giselle, by jechała do Paryża, rzadko ze sobą rozmawiali. Na szczęście jeszcze nie zastosowała się do rady, lecz w każdej chwili spodziewał się, że przyjdzie i zakomunikuje, iż właśnie wyjeżdża.

Dziś jednak po wizycie na farmie był w wyśmienitym nastroju, a Mollie natychmiast to zauważyła – Co cię wprawiło w tak świetny humor? – spytała.

– Frank i Toby Fairbank poprosili mnie na drużbę.

– Cudownie!

– Prawda?

Szkoda jednak, że tylko w takim charakterze podejść do ołtarza w naszym starym kościele pamiętającym jeszcze czasy normañskie, dodał w myśli.

– A co z nogą? Z nogą Franka? – Giselle niespodziewanie przyłączyła się do rozmowy.

Marc obrócił się na pięcie i zobaczył ją stojącą w otwartych drzwiach gabinetu.

– Kiedy przyszedłem, miał ją przypiętą – odparł, nie mogąc oderwać oczu od kobiety, na której widok zawsze krew zaczynała szybciej krążyć w jego żyłach. – Zwierzył mi się, że postanowił

wziąć ślub dopiero wówczas, kiedy będzie mógł dojść do ołtarza bez kul. Wszystko wskazuje na to, że mu się uda. Dzieci też są zaproszone, a ja mam się zjawić z osobą towarzyszącą – dodał pod wpływem nagłego impulsu. – Mogę liczyć na ciebie?

Specjalnie powiedział to przy Mollie, żeby uniknąć bardziej osobistych komentarzy. Wstrzymał oddech, czekając na odpowiedź. Właściwie spodziewał się odmowy, lecz Giselle rzekła z uśmiechem:

– Oczywiście. Och, jak dawno nie byłam na żadnym ślubie – rozmarzyła się. – I cieszę się ze względu na Franka i Toby'ego. O ile wiem, w ostatnich latach w ich życiu niewiele było szczęśliwych chwil.

Marc nie miał pojęcia, jak bardzo Giselle ciążyło to ochłodzenie stosunków między nimi i jak wyczekiwała okazji do odnowienia dawnej zażyłości. Zauważył tylko na nowo błysk w jej pięknych fiołkowych oczach i pomyślał, że jak wszystkie kobiety lubi śluby. Jak gdyby na potwierdzenie tej tezy, Giselle zaproponowała:

– Może chciałbyś, żebym kupiła Alice sukienkę, kiedy wybiorę się po coś dla siebie? Chyba że wolisz, żeby jej babka się tym zajęła...

– Świetny pomysł. Jeśli o mnie chodzi, to bardzo proszę – odparł bez namysłu. – I jestem pewny, że Margaret nie będzie miała nic przeciwko temu. Ma bardzo tradycyjny gust, a Alice mimo młodego wieku doskonale zna się na modzie dla sześciolatek. – Nie mógł uwierzyć, że znowu rozmawiają prawie jak dawniej. Rzykując odmowę, zaproponował niespodziewanie: – Wiesz, mam lepszy pomysł. Wszyscy razem wybierzmy się na zakupy. Co ty na to? Tom i ja też potrzebujemy paru rzeczy. Obawiam się, że nie bardzo przypadnie mu do gustu perspektywa włożenia garniturku, ale ucieszy go wspólna wyprawa.

Czekając na odpowiedź Giselle, pomyślał, że przeszarżował, że jego propozycja zabrzmiała niemal błagalnie, a to była ostatnia rzecz, jakiej pragnął.

W tym czasie Mollie odwróciła się, zajęła rozmową z

pacjentem, i nagle wydało mu się, że na całym świecie są tylko oni dwoje – on i Giselle. Stoją tak blisko siebie, a w rzeczywistości tak wiele ich dzieli. Znajdują się w mocy sił, które albo wyniosą ich ku gwiazdom, albo strącą w otchłań.

– Dobrze – zgodziła się Giselle. – Ile czasu zostało?

– Niewiele. Zaledwie dwa tygodnie – odrzekł, starając się zbytnio nie okazywać radości. – Nastoletnie wnuczki Mary będą druhnami. Jenny przygotowuje przyjęcie w domu parafialnym. Na pewno będzie mnóstwo gości. Wszyscy pamiętamy, jak Frank godzinami leżał pod traktorem i jak dzielnie znosił cierpienie. I wszyscy podziwiają Toby’ego za to, jaką opieką otoczył ojca. Wspierał go tak samo, jak ty wspierasz Philipa.

Dał Giselle szansę coś powiedzieć, lecz ona tylko obrzuciła go obojętnym spojrzeniem i cofnęła się do gabinetu. Spokojnie, nie przesadź, Marc mówił do siebie. Ciesz się, że potraficie normalnie rozmawiać.

– Widzę, że musimy wybrać się po zakupy w ten weekend – rzekła Giselle, wracając. Z szelmowskim uśmiechem dodała: – Obawiam się, że to oznacza dalszą wyprawę, bo nie sędzę, żebyśmy w waszym ukochanym miasteczku dostali wszystko, czego potrzebujemy na ślub i wesele.

Marc roześmiał się, a Giselle ucieszyła, że odzyskał dobry humor. Miała nadzieję, że dzieciom wspólna wyprawa po zakupy też sprawi frajdę.

– Racja. Tutejsze sklepy raczej nie nadążają za modą.

Kiedy Marc powiedział Tomowi i Alice, że razem z Giselle pojedą na zakupy, ponieważ zostali zaproszeni na ślub, Alice zaczęła z radości tańczyć po pokoju, Tom zaś, zawsze bardziej poważny od siostry, spytał:

– Czy to znaczy, że ona stąd nie wyjeżdża?

– Nie wiem – odrzekł ojciec. – Może tak, może nie. W każdym razie, jeśli wyjeżdża, to jeszcze nie zaraz, i idzie z nami na ślub Franka i Toby’ego.

– Dlaczego wybrali sobie ciebie na drużbę? Sami mogliby być dla siebie drużbami – dopytywał się Tom.

– Pan młody nie może być jednocześnie drużbą – tłumaczył Marc. – Ja będę pilnował obrączek, wygłoszę toast, wręcę druhnom pamiątkowe upominki.

– Będiesz najlepszym drużbą na świecie – wykrzyknęła Alice – bo jesteś najlepszym tatą!

Giselle zaproponowała, że w sobotę weźmie za Marca poranny dyżur, by mógł przygotować dzieci do wyjazdu. Kiedy skończyła przyjmować ostatniego pacjenta, cała trójka już czekała na nią w recepcji.

Gdy ich zobaczyła, gardło jej się ścisnęło ze wzruszenia. Kocham tego mężczyznę, pomyślała, kocham też jego dzieci. Ale czy to wystarczy, żebym chciała zostać żoną wiejskiego lekarza obciążonego rodziną?

Nie tak wyglądały jej plany. Zdecydowanie nie tak. Ale dzisiaj postanowiła zapomnieć o skomplikowanych niespodziankach, jakimi zaskakuje nas życie, i po prostu miło spędzić dzień w towarzystwie Marca, Toma i Alice.

Podczas gdy Marc zamykał lecznicę, Giselle z dziećmi wsiadła do samochodu. Odwróciwszy się, ze zdziwieniem zobaczył, że miejsce obok kierowcy zostało puste, a cała trójka umościła się na tylnym siedzeniu, Giselle pośrodku, Alice i Tom po bokach, przytuleni do niej. Powstrzymał się od komentarza, lecz w duchu pomodlił się, by popołudnie minęło im tak miło, jak się zaczęło.

– Jakie stroje obowiązują? – spytała Giselle, kiedy dojeżdżali do miasta. – Musisz sobie wypożyczyć żakiet, sztuczne spodnie i cylinder?

Marc potrząsnął głową.

– Nie. Taki styl nie pasuje do Franka i Toby’ego. Wszyscy mężczyźni będą ubrani po prostu w ciemne garnitury. Jeśli chodzi o panie, to o ile wiem, Denise ma włożyć tradycyjną białą suknię z welonem, a jej matka garsonkę.

– Żałuję, że nie jestem druhną – odezwała się Alice smętnym głosem.

W samochodzie zapadła cisza i Giselle zastanawiała się, czy

Marc nie pomyślał, iż gdyby zechcieli, mogliby spełnić marzenie jego córki.

– Nie martw się. Pewnego dnia na pewno zostaniesz czyjąś druhną – odezwał się Marc łagodnym tonem. Uznał, że nie należy ciągnąć tego tematu.

Tymczasem dojechali do miasta i odszukali główną ulicę handlową. Wchodząc do domu towarowego, rzekł:

– Przydałby mi się nowy garnitur, a dla Toma myślałem o granatowej albo czarnej marynarce i szarych spodniach. Co o tym sądzisz? – zwrócił się do Giselle.

Giselle poczuła, że się rumieni. Marc zachowywał się tak, jak gdyby to była rodzinna wyprawa. Obsługa weźmie mnie za jego żonę, pomyślała.

Za każdym razem, kiedy Marc wychodził z przebieralni w innym garniturze, Giselle była pod wrażeniem jego tęczyzny niepozabawionej swojskiego uroku. Przypomnił jej się moment, kiedy go zobaczyła podczas aukcji i rozpoznała w nim mężczyznę, z którym poprzedniego dnia omal się nie zderzyła przed wejściem do agencji nieruchomości.

Już wtedy poczuła magnetyczną siłę jego osobowości. Od tamtego czasu, wbrew jej chęciom, wzajemny pociąg stawał się coraz silniejszy. Chciała wracać do Francji, lecz rodzące się uczucie mąciło jej wizję przyszłości.

W końcu, kiedy wybrał ciemnogramatowy garnitur, przyszła kolej na ubranie dla Toma, a kiedy się z tym uporali, udali się do działu damskiego.

– Dobrze się bawisz? – spytał szeptem Marc, kiedy jechali schodami ruchomymi na piętro.

– Tak – odparła, dziwiąc się, że zapytał.

– Nie masz nas dość?

– Nie, chociaż czuję się trochę dziwnie.

– Dlaczego?

– Nie przywykłam do takich rodzinnych wypraw po zakupy.

– Żałujesz więc, że z nami przyjechałaś?

– Oczywiście, że nie! – obruszyła się. – Bardzo się cieszę, że

mogę się wam na coś przydać – dodała i natychmiast pożałowała swoich słów. Jeszcze pomyśli, że traktuję to jako obowiązek, nie przyjemność! – Kiedy już wybierzemy dla Alice ładną sukienkę, bieliznę, pantofle, skarpetki i może żakiet, bo przecież idzie jesień, zajmę się moim strojem. A potem proponuję, żebyśmy wybrali się gdzieś na dobry lunch – dorzuciła.

– Zgoda. Uprzedzam tylko, że tutejsze sklepy na pewno nie dorównują paryskim butikom, a Alice i Tom mogą mieć inne wyobrażenie o tym, co to jest dobry lunch, niż ty czy ja.

– Cóż, różnica pokoleń – zażartowała Giselle. – Ale sądzę, że pozwolimy im zdecydować.

– Jasne – odparł, myśląc jednocześnie z żalem, że oto stoi przed nim kobieta, którą sobie wybrał, a która nie dopuszcza tego do świadomości.

Dla Alice kupili śliczną różową sukienkę z wszystkimi potrzebnymi dodatkami. Widząc radość dziewczynki, Giselle pomyślała o jej matce i wzruszenie ścisnęło jej gardło. To Amanda powinna wybierać strój dla córeczki, nie jakaś obca kobieta, która rękami i nogami broni się przed zbyt dużą zażyłością z Markiem i dziećmi.

– Jak sądzisz – zwróciła się do Marca, kiedy znaleźli sklep, który odpowiadał jej wysokim wymaganiom – jaki kolor powinnam wybrać?

– Turkus? Seledyn? Lila – zaczął wymieniać. – Ja widziałbym cię w jasnych beżach, ale podobno starsza panna młoda będzie tak ubrana.

Dlaczego nie mogę zdecydować sama, nie pytając Marca o zdanie? – zastanawiała się Giselle. Zachowuję się, jak gdybym była jego żoną. Nie chciała ubrać się zbyt elegancko, zwłaszcza że teściowie Marca także zostali zaproszeni, wybrała więc raczej skromną tradycyjną suknię z turkusowej wełenki, do tego kapelusz, pantofle i torebkę.

Wyglądała stosownie, lecz nie szykownie, i kiedy wyszła z przymierzami, zapadła cisza. W oczach Alice dostrzegła rozczarowanie, Tom wbił wzrok w podłogę. W końcu Marc

zdecydował się przemówić:

– Jesteś pewna? – spytał. – Nieraz widziałem cię ubraną z większym polotem. Wyglądasz jak... żona naszego pastora.

– Wolę wyglądać jak żona pastora niż żona doktora – wypaliła.

– Oczywiście – syknął. – Wszystko lepsze niż to, prawda? Dziwię się, że pomyślałaś, że nie warto stroić się na wiejski ślub. Widocznie uważasz nas za zbyt nieokrzesanych, żebyśmy to docenili.

Ponieważ dzieci się przysłuchiwały, Giselle zwróciła się do ekspedientki:

– Dziękuję. Jeszcze się zastanowię.

Podczas lunchu, ze względu na dzieci, starała się żartować z Markiem, lecz za każdym razem, kiedy ich spojrzenia się krzyżowały, w jego oczach widziała chłód. Znikł gdzieś błysk rozbawienia, wzajemnego porozumienia.

Żałowała swojej ostrej riposty, lecz rozgniewał ją przypuszczeniem, że się wywyższa. Równie dobrze mógłby ją nazwać snobką. Zrobiło jej się przykro. Ryba wyciągnięta z wody lepiej nadaje się dla określenia jej samopoczucia. Przynajmniej wiem, jak mnie ocenia, pomyślała. Tylko że on też sądzi, że zna moje zdanie o sobie, a przecież to nieprawda!

Chęć ubrania się skromnie zamiast sztywnie świadczyła o tym, że zależy jej na akceptacji Margaret i Stanleya Pollardów. Kiedy uświadomiła to sobie w ciasnej przymierzami, nie miała czasu głębiej analizować swoich uczuć. Pragnęła, by Marc był szczęśliwy, a zyskanie aprobaty jego teściów wydawało jej się krokiem we właściwym kierunku. W takich momentach Paryż oddalał się od niej o miliony mil.

Kiedy późnym popołudniem Marc odwiózł Giselle do Abbeyfields, była gotowa go przeprosić, lecz on siedział z wzrokiem utkwionym w niewidzialny punkt przed sobą i nawet nie odwrócił głowy. Pożegnała się więc z dziećmi, wysiadła i niepokieszona weszła do domu.

Ciekawe, jak by zareagował, gdybym przyznała się, że wybrałam tę skromną sukienkę, bo chciałam dobrze wypaść w

oczach jego teściów, przekonać ich, że nadają się na macochę ich wnuków? Dla Giselle to była chwila prawdy. Nagle uświadomiła sobie, że tęsknota za Paryżem ustąpiła na drugi plan, a jej myśli zdominowali Marc i dzieci.

Dlaczego nie mogę powiedzieć mu tego wprost, dlaczego odgrywam komedię z wybieraniem sukienki, która zupełnie nie jest w moim stylu? Odpowiedź na to pytanie nie była trudna. Gdyby mu się zwierzyła, Marc uznałby to za dowód, że zmieniła plany, podczas gdy ona traktowała to jedynie jako mały krok zблиżający ją ku decyzji, której jeszcze nie podjęła.

Może lepiej, że nic nie powiedziałam, uznała. Szczególnie po dzisiejszym starciu?

Co jest grane, zastanawiał się Marc, wnosząc zakupy do domu. Dla niego Giselle, obojętnie co na siebie włożyła, była piękna, piękniejsza byłaby chyba tylko w stroju Ewy. Ale w jej dzisiejszym zachowaniu było coś bardzo dziwnego.

Kiedy przyjęła zaproszenie, by towarzyszyć mu na ślubie i weselu, świat nabrał nowych barw, jak gdyby nagle zza chmur wyrzuciło słońce. Zaczął sobie ją wyobrażać w jakiejś szykownej kreacji, a tu...

Jego uwaga o żonie pastora i jej odpowiedź zepsuły mu cały dzień. Teraz pozostawało mu jakoś przebiedować resztę weekendu i mieć nadzieję, że Giselle nie zmieni zdania co do wesela.

– Tato, pojedźmy do babci i dziadka pokazać nasze zakupy – poprosiła Alice.

– Dobry pomysł – zgodził się Marc. Przynajmniej jakoś minie czas do wieczora.

Nie tylko Marc z niechęcią myślał o weekendzie wypełnionym pustką. Kiedy posprzątali po kolacji, a Philip zasiadł przed telewizorem, Giselle postanowiła się przejść. Ściemniło się już i ochłodziło, lecz gdy dotarła do centrum miasteczka, koło Twin Picks, popularnego pubu, zobaczyła spory tłumek. Ogarnięta nagłą tęsknotą za światłem, ciepłem i ludźmi, weszła do środka, przy barze zamówiła drinka i zaczęła rozglądać się za jakimś miejscem.

W pubie było dużo młodzieży chcącej się zabawić w sobotni wieczór, i tylko nieliczni dorośli. Nikogo tutaj nie znała, lecz pomyślała, że dobrze jest znaleźć się wśród obcych, którzy się nią nie interesują. Nagle wśród gwaru wyłowiła znajomy głos.

Zajrzała do małej wnęki i zobaczyła Marca siedzącego z grupką znajomych w podobnym co on wieku. Kiedy ją ujrzał, zrobił wielkie oczy, potem wstał i podszedł do niej. Nici z ukrycia się wśród obcych, pomyślała. I nie sprawdziły się moje smutne wizje Marca spędzającego samotny wieczór.

– Co tutaj robisz? – spytał, zniżając głos.

– Wybrałam się na spacer, ale jest za zimno, więc weszłam do środka. Ale żony pastorów pewnie nie chodzą do pubów...

– Przepraszam. Nie powinienem był tego mówić – odparł. – Deirdre jest przemiłą kobietą i kiedy ma ochotę, wstępuje do pubu na szklaneczkę guinnessa. Po prostu przyzwyczailem się, że zawsze ubierasz się bardzo szykownie i w sklepie kompletnie mnie zaskoczyłaś. Wyobrażałem sobie, że na ślubie przyćmisz wszystkie panie.

– Nawet obie panny młode? Niemożliwe. I kto tu jest snobem? – zażartowała. – Gdzie dzieci?

– Śpią u Margaret i Staną. Alice chciała się pochwalić dziadkom nową sukienką, a oni zaprosili wnuki na noc.

– Co powiedzieli o sukience?

– Domyślili się, kto pomagał nam ją wybrać.

– I?

– Bardzo im się spodobała.

Giselle wzięła głęboki oddech, zanim spytała:

– Nie mieli pretensji, że pojechałam z wami na zakupy?

– Nie zauważyłem. Są realistami. Podejrzewam, że woleliby, żebym spędzał czas w towarzystwie kogoś miejscowego, zamiast uganiać się za pięknym paryskim motylem, który przypadkiem zawitał w nasze strony. Wyobrażam sobie, że się boją, iż jeśli ożenię się z kimś z daleka i wyprowadzę się stąd, stracą kontakt z dziećmi.

– Byłoby bardzo źle, gdyby tak się stało.

– Co? Gdybym ożenił się z kobietą z innych stron? Czy gdybym się wyprowadził?

– Wszystko. I to, i to, i rozluźnienie kontaktów z wnukami. Twoje miejsce jest tutaj.

Marc ujął Giselle za rękę i wyprowadził z pubu w chłodną noc. W ciemności pustego ogródka obrócił ją ku sobie.

– Czyżbyś robiła kolejny unik? Wykorzystujesz rodziców Amandy, żeby się ode mnie odsunąć? Mylisz się, mówiąc tak zdecydowanie, że moje miejsce jest tutaj. Moje miejsce jest tam gdzie ty. Ty i dzieci, gdziekolwiek to będzie. I nigdy nie dopuszczę, żeby więzi między nimi i dziadkami zostały zerwane.

Kolana się pod nią ugięły. Marc mówi jej właśnie, że jest gotowy opuścić ukochane miasteczko, gdzie są jego korzenie! To powinno ułatwić jej podjęcie decyzji, lecz było wręcz przeciwnie. Wiedziała, że gdyby się zgodziła, do końca życia dręczyłoby ją poczucie winy.

Z wnętrza pubu dobiegała głośnie muzyka.

– Moglibyśmy pójść gdzieś indziej? – spytała.

– Odprowadzę cię – zaproponował.

Po drodze do znajdującego się niedaleko Abbeyfields powiedziała cicho:

– Prawdziwa miłość polega na dawaniu i braniu w równej mierze przez oboje partnerów. Jeśli jestem tą kobietą, o której mówimy, nie pozwoliłabym ci postąpić tak, jak sugerujesz. Ty zrezygnowałbyś ze wszystkiego, natomiast ja z niczego.

– Co z twoją wolnością? – spytał. – Zrezygnowałabyś z niezależności i wzięła sobie na głowę od razu całą rodzinę? Ale to rozmowa czysto teoretyczna, chyba że mnie kochasz. Kochasz mnie, Giselle?

Oczywiście, że cię kocham, pomyślała z bólem. Czy prowadzilibyśmy taką rozmowę, gdyby było inaczej? Lecz nie jestem tak wspańałomyślna, jak sądzisz, i decyzja o osiedleniu się w obcym kraju stanowi dla mnie problem. Ojciec tak kiedyś uczynił, ty zadeklarowałeś gotowość wyjazdu, lecz ja jeszcze nie wiem.

– Cały czas o tobie myślę, jeśli to o czymś świadczy – zaczęła ostrożnie w odpowiedzi na jego pytanie.

Zauważyła, że twarz mu stężała.

– Na miłość boską! – wykrzyknął. – Znam ludzi, którzy cały czas o kimś myślą, bo tego kogoś nienawidzą. Kiedy cię pocałowałem, ten jedyny i ostatni raz, przyłgnęłaś do mnie. Miałem wrażenie, że jesteśmy sobie przeznaczeni, ale od tamtej chwili nasze stosunki ciągle się zmieniały. Miotamy się od jednej skrajności w drugą, raz jest dobrze, raz źle.

– Stał raptownie pod jedną z ulicznych latarni.

– Może pora przejść od słów do czynów? – rzekł, a zanim zdążyła odpowiedzieć, już była w jego ramionach, na ustach czuła jego usta. Kiedy w końcu odsunęli się od siebie, szepnął tuż koło jej ucha:

– Zazwyczaj dwoje, albo przynajmniej jedno z moich dzieci wślizguje się nocą do mnie do łóżka, ale dzisiaj śpią u dziadków, więc nic mi nie grozi. Co byś powiedziała na...

Nie dokończył, ponieważ nagle usłyszeli wołanie i zobaczyli biegnącego ulicą właściciela pubu.

– Co się stało? – zaczął go Marc.

– Jeden z chłopaków zasłabł! – Mężczyzna z trudem łapał oddech. – Dostał jakiegoś ataku. Przed chwilą widziałem was razem, więc wybiegłem, żeby cię dogonić. Wezwałem pogotowie, ale jeśli możesz...

– Oczywiście – odparł Marc bez wahania i razem z Giselle pobiegli do pubu. Na podłodze leżał chłopak, wił się i rzucał, koło niego tłoczyli się jego koledzy. – To Damien! – rzekł Marc. – Syn moich przyjaciół, którzy są teraz na wakacjach.

– Choruje na epilepsję? – spytała Giselle, pochylając się nad chłopakiem.

– Nic o tym nie wiem. Nigdy nie skarżył się na nic, co ewentualnie by wskazywało na...

– Objawy są typowe. Piana na ustach, konwulsje.

– Owszem, ale jak mówię, nic o tym nie wiem.

– Odwrócił się do kolegów i koleżanek Damiena.

– Czy któryś z was może widział, żeby coś zażył przed przyjściem tutaj?

– Ja widziałam – odparła jedna z dziewczyn. – Połknął jakąś pastylkę, ale kiedy spytałam co, kazał mi się nie wtrącać.

– Zobacz, czy karetka już jedzie, Bob – polecił Marc zdenerwowanemu barmanowi, a zwracając się do Giselle, która badała puls Damiena, dodał: – Włożę mu pod głowę marynarkę. Obawiam się, że do przyjazdu pogotowia nic więcej nie możemy zrobić. Wiem, że nie choruje na epilepsję – zastanawiał się głośno – ale kiedyś zawsze jest pierwszy atak. Druga ewentualność to jakiś środek odurzający, który połknął i który wywołał taką reakcję organizmu. W takim przypadku trzeba zrobić płukanie żołądka.

– Ma bardzo przyspieszony puls – stwierdziła Giselle. – Jeśli to epilepsja, to niedługo zacznie dochodzić do siebie.

– Przed przyjściem tutaj wygłupialiśmy się trochę na błoniach – odezwał się jeden z kolegów Damiena.

– Co to znaczy „wygłupialiście się”? – spytał Marc.

– No... mocowaliśmy się, ćwiczyliśmy przerzuty...

– Naprawdę? – mruknął Marc i dalej mówił już do Giselle: – W takim razie atak może być skutkiem uderzenia w głowę, zażycia jakiegoś środka odurzającego albo pierwszym objawem epilepsji. Gdyby byli tu jego rodzice, wściekliby się chyba. Pojadę z nim do szpitala, zobaczę, co stwierdzą. – Potem uśmiechnął się do niej przelotnie i dodał: – A już prawie cię miałem w swoich siódmach. Wygląda na to, że w moim dużym łóżku nikt dziś nie będzie spać.

Przyjechało pogotowie. W ciągu kilku minut ratownicy przenieśli Damiena do karetki. Marc usiadł obok niego.

Wracając piechotą do domu, Giselle pomyślała, że gdyby Damien nie dostał ataku, spędziłaby noc w objęciach Marca i nie musiałaby już podejmować żadnych decyzji.

Może i lepiej, że tak się nie stało. Nie chciała ulegać magii chwili. Woląca podjąć decyzję na spokojnie, w świetle dnia, nie pod wpływem rozgrzanych emocji i rozbudzonych zmysłów. Więc może los nie jest ślepy? Może czuwa nad nami i ingeruje, kiedy

się tego najmniej spodziewamy?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W niedzielę rano, chociaż wcale nie była pewna, czy zastanie Marca w domu, Giselle do niego zadzwoniła.

Nie odebrał telefonu, i jej niepokój wzmógł się, jednak kiedy po pół godzinie zadzwoniła ponownie, Marc podniósł słuchawkę. Zmęczonym głosem, lecz jak zwykle, kiedy mówił o pacjentach, zwięźle i rzeczowo zdał jej relację o stanie zdrowia Damiena.

– Wróciłem dosłownie przed chwilą – mówił. – Zanim dojechaliśmy do szpitala, konwulsje minęły. Chłopak był śmiertelnie przerażony tym, co się wydarzyło, zresztą to całkiem zrozumiałe. Wszyscy jesteśmy zaniepokojeni, kiedy tracimy kontrolę nad reakcjami własnego ciała, więc zostałem przy nim. Tęskni za rodzicami, ale na szczęście już dzisiaj wracają. Po raz pierwszy zostawili go samego i kiedy się dowiedzą, co się stało, będą mieli zepsute wspomnienia z wakacji.

– Udało się dociec przyczyny ataku?

– I tak, i nie. Tabletkę, którą połknął, nie była żadnym podejrzanym specyfikiem odurzającym, tylko środkiem przeciwbólowym. Nie muszę ci mówić, że kiedy się o tym dowiedziałem, odetchnąłem z ulgą.

– Więc co się właściwie stało? Mam nadzieję, że wczorajszy upadek nie spowodował urazu czaszki, ..

– Nie. Zrobili mu prześwietlenie oraz tomografię komputerową. Chyba jednak są to początki epilepsji. Dziś będzie miał dalsze badania i EKG. Nie dowiemy się jednak, czy atak był tylko pojedynczym epizodem, czy należy spodziewać się następnych. Jak wiesz, wśród lekarzy zdania są podzielone, czy po pierwszym ataku powinno się podawać choremu środki przeciw konwulsjom. Tak więc Damiena czeka okres niepewności.

– Jego rodzice już wiedzą?

– Przez otwór na listy wrzuciłem kartkę z prośbą, żeby zaraz po przyjeździe skontaktowali się ze mną. Nie chciałbym, żeby się

dowiedzieli od kogoś innego. Wiesz, jak szybko rozchodzą się plotki. – Urwał, a po chwili, zmieniając temat, zapytał: – A co z nami, Giselle? Najpierw podarowano nam okazję spędzenia tej nocy razem, a zaraz potem szybko nam ją odebrano.

W jego głosie pobrzmiwała nuta żalu.

– Wiem, ale... – zaczęła ostrożnie – ale może tak miało być?

Po drugiej stronie linii zaległa cisza. Giselle poczuła, że jej dłoń zaciśnięta na słuchawce zwilgotniała.

– Tak miało być? – powtórzył Marc z niedowierzaniem zmieszonym z gniewem. – Więc nie żal ci, że się nie kochaliśmy? Uważasz atak Damiena za szczęśliwe zrządzenie losu? Zawsze szukasz jakiejś furtki! Nawet kiedy powiedziałem, że gotów jestem wyjechać stąd, tylko żeby być z tobą? Nawet to nie wystarczyło! Wniosek nasuwa się sam, nie akceptujesz mnie i w tym tkwi problem. Uważasz mnie za bezczelnego typa, który wszelkimi środkami zabiega o twoją miłość. – Giselle już otwierała usta, by zaprzeczyć, lecz nie dał jej dojść do słowa. – Mam dla ciebie dobrą wiadomość. Jestem gotowy uznać swoją porażkę. W jednej sprawie się nie mylisz, nie pasujesz do nas. W końcu udało ci się mnie przekonać.

I przykro mi tylko, że perspektywa kochania się ze mną wydawała ci się tak mało atrakcyjna.

Urwał dla zaczerpnięcia oddechu i właśnie kiedy Giselle miała szansę mu odpowiedzieć, połączenie zostało przerwane. Stała jeszcze chwilę ze słuchawką w ręku, aż dotarło do niej, że słowa, jakie padły, oznaczają z jego strony nieodwracalną decyzję.

Ogarnęła ją złość. Właśnie miała zamiar mu powiedzieć, że nigdy, przenigdy nie pozwoli mu stąd wyjechać. Zgoda, tak, ona tu nie pasuje, natomiast on jest częścią tej społeczności. On i jego dzieci.

Problem nie tkwi w Marcu. Problem tkwi w niej samej. A raczej tkwił do wczoraj, do chwili, kiedy uczyniła pierwszy krok w kierunku podjęcia decyzji, która odmieniłaby jej życie, a tym krokiem była chęć zyskania aprobaty teściów Marca.

A teraz jasno dał jej do zrozumienia, że ma tego wszystkiego

dość. Oczywiście nie mogła winić Marca za to, że uważa, iż jest jak chorągiewka na wietrze. Ale to się zmieniło. Gdyby dopuścił ją do głosu, powiedziałyby mu, że czuje to samo co on. Że chce być tam, gdzie on. Nawet gdyby miało to dla niej oznaczać pozostanie na zawsze w tym małym miasteczku w Cheshire, którego urok dopiero zaczynała doceniać.

Do ślubu Franka i Toby'ego Fairbanków pozostał zaledwie tydzień. Wiedziała, jak bardzo Marc i wszyscy cieszą się na tę uroczystość. Postanowiła, że do tego czasu nic nie będzie robiła. Za to potem pojedzie do Paryża pożegnać się z ukochanym miastem.

Marc wprost nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Gdy na oddziale ratunkowym czuwał przy Damienie, narastało w nim rozczarowanie. A już się cieszył, że spędzi noc z Giselle, i że w jakimś odpowiednim momencie poprosi ją o rękę!

Gdy pojechał odebrać dzieci, teść zauważył:

– Masz zmęczone oczy. Balowałeś?

– Spędziłem noc w szpitalu, czuwając przy jednym znajomym nastolatku – wyjaśnił sucho.

Cierpka nuta w jego głosie nie umknęła uwagi Stanleya.

– Mam rozumieć, że wolałbyś dotrzymywać towarzystwa komuś innemu, tak? Na przykład tej szykownej młodej lekarce, która mnie czasowo zastępuje?

„Czasowo” jest właściwym określeniem, pomyślał Marc i uśmiechnął się, doceniając przenikliwość teścia. To dowód, że wraca do zdrowia. Stanley nie poznał osobiście Giselle, lecz Margaret na pewno zdała mu obszerną relację.

– Wiesz, że oboje z żoną bardzo byśmy chcieli, żebyś się ponownie ożenił – ciągnął starszy pan, potwierdzając domysły Marca. – Mieliśmy nadzieję, że to będzie ktoś, kogo znamy, ale wybór należy oczywiście do ciebie. – Urwał, odwrócił się plecami do zięcia i posepnie spojrział w okno. – Wiesz, nigdy nikomu o tym nie mówiłem, nawet Margaret – dodał po chwili – ale podejrzewam, że z Amandą nie miałeś łatwego życia. Była

rozpieszczoną egoistką. Nie powtórz tego błędu.

Marc wziął głęboki oddech, zanim odpowiedział:

– Kocham Giselle i podejrzewam, że nie jestem jej obojętny, ale dla niej Paryż jest ważniejszy ode mnie. Odnoszę wrażenie, że dusi się tutaj. Poza tym są jeszcze dzieci.

– Jeśli naprawdę cię kocha, żadna z tych rzeczy nie będzie przeszkodą – odezwał się Stanley. – Idźcie razem na ślub Franka i Toby’ego, tak? To może być krok naprzód.

– Niestety, padły między nami ostre słowa. Może dokładniej, padły z mojej strony. Nie wiem, czy po tym, co powiedziałem, będzie jeszcze chciała na mnie spojrzeć.

– Czyli postawiłeś na niej kreskę. To do ciebie niepodobne.

– Wiem, ale moja cierpliwość ma swoje granice. Nie mogłem dużej wytrzymać trwania w niepewności.

Podczas tygodnia, jaki został do ślubu Franka z Mary i Toby’ego z Denise, Giselle sprawiała wrażenie tak samo opanowanej jak zwykle, co doprowadzało Marca niemal do szału. Miał ochotę podejść i mocno nią potrząsnąć. Podczas gdy on miejsca sobie znaleźć nie mógł, ona zachowywała się tak, jak gdyby między nimi nic się nie wydarzyło. Kilkakrotnie kątem oka zauważył, że uśmiecha się tajemniczo i irytowało go to jeszcze bardziej, lecz za żadną cenę nie chciał dopuścić do ponownej konfrontacji.

Podejrzewał, że spokój Giselle spowodowany był jego zapewnieniem, że wszystko między nimi skończone. „Skończone” nie było odpowiednim słowem, bo żeby coś się skończyło, musi się najpierw rozpocząć. Niemniej Giselle była najwidoczniej zadowolona z tego, że przestał się jej narzucać.

Czasami pragnął, by po prostu wyjechała i przecięła wszystko, ale kilkakrotnie mówiła, że wyjedzie dopiero wtedy, kiedy będzie pewna, że ojciec da sobie radę bez niej. Natomiast jak on, Marc, da sobie bez niej radę, najwidoczniej jej nie obchodziło. Doszedł do wniosku, że poproszenie Giselle o zastępstwo nie było dobrym posunięciem. Co innego gdyby odwzajemniała jego uczucia – wówczas stworzyliby fantastyczny tandem.

Jedyną rozmowę na tematy osobiste odbyli wtedy, gdy zapytał, czy wybiera się na ślub, a ona odpowiedziała, że tak, oczywiście. Czyżby miał coś przeciwko temu?

Jak mógłby mieć coś przeciwko temu? Pewnie będzie to ostatnia okazja spotkania z nią poza godzinami pracy.

– Ależ skąd – zaprzeczył. – Uroczystość zacznie się o dwunastej, więc spotkamy się w kościele. Nie mogę przyjechać po ciebie, bo jako drużba muszę się stawić na farmie, wziąć obrączki, nie pomieszać ich, bo będą aż dwie pary, oraz działać uspokajająco na pana młodego, i to nie jednego, a dwóch.

– Co z Alice i Tomem? – spytała. – Przyjadą z dziadkami?

– Tak – odparł krótko. – Ja będę zajęty gdzie indziej, więc tylko oni mogą się nimi zaopiekować.

Specjalnie chciał wysondować, czy Giselle wystąpi z propozycją, że ona zajmie się dziećmi. Tydzień temu na pewno tak by uczyniła, teraz zaś nie podjęła wyzwania. Marc przestał myśleć o uroczystości z radosnym podnieceniem, lecz nie chciał, by Frank i Toby się tego domyślili. To będzie ich dzień, a on dołoży wszelkich starań, żeby wszystko odbyło się jak należy.

– Dasz sobie radę przez kilka dni beze mnie, tato? – spytała Giselle rankiem następnego dnia po tym, kiedy Marc powiedział, że nie będzie się jej więcej narzucał.

Phiłip, zaskoczony, spojrzał na córkę.

– Oczywiście, *że dam – odparł. – Od bardzo dawna nie czułem się tak dobrze jak teraz. Gdzie się wybierasz?

– Jeszcze się nie zdecydowałam. Chcę uporządkować myśli, a żeby to osiągnąć, przynajmniej na kilka dni muszę się znaleźć z dala od Marca.

– Czyli to o niego chodzi, tak? Giselle przytaknęła ruchem głowy.

– Tak. O niego.

Nic więcej nie powiedziała, ojciec także nie wypytywał o szczegóły, ale wiedziała, że się o nią martwi. Wiedziała również, że i on pragnąłby, by została w Anglii, lecz pamiętała, że obiecał,

iż nigdy nie będzie próbował wywierać na nią żadnego nacisku.

W dniu ślubu Giselle ubrała się z niezwykłą starannością. Podczas wyprawy po zakupy z Markiem i dziećmi tak naprawdę nie musiała niczego kupować dla siebie, udawała tylko, że potrzebna jest jej odpowiednia kreacja, by nie było im przykro, że oni mają nowe stroje, a ona nie. Uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie miny Marca, kiedy wyszła z przymierzalni w tamtej statecznej sukience, a on, rozczarowany, wyznał, że wygląda jak żona pastora. Miałby za swoje, gdyby Deirdre wystąpiła w przezroczystej kreacji od znanego projektanta albo z odsłoniętym brzuchem, pomyślała, stając przed otwartą szafą. Jej wybór padł na prostą, bardzo elegancką sukienkę z bladozielonego jedwabiu. Do niej włożyła kapelusz z szerokim rondem w tym samym kolorze i odpowiednie pantofle. Ten szczególny odcień zieleni rozświetlał jej skórę i dobrze kontrastował z brązowymi włosami, które zaczesła do tyłu i upięła w luźny kok.

Kiedy dotarła na miejsce, kościół był już pełen, ale młody człowiek, w którym Giselle rozpoznała Damiana i który wskazywał gościom miejsca, zaprowadził ją do ławki na samym przodzie, zarezerwowanej dla specjalnych gości.

Ledwie zdążyła usiąść, gdy usłyszała za plecami lekkie kroki. Tom i Alice wystrojeni w nowe ubranka, które sama pomagała dla nich wybrać, przysunęli się do niej, a Alice spytała szeptem:

– Możemy usiąść obok ciebie?

– Oczywiście, kochanie – odrzekła ucieszona – ale gdzie są wasi dziadkowie?

– Siedzą w ławce za nami – wyjaśnił Tom. Giselle obejrzała się za siebie, chcąc sprawdzić, czy państwo Pollard nie będą mieli nic przeciwko temu, by dzieci usiadły z nią. Margaret uśmiechnęła się do niej przyjaźnie i skinęła głową na znak, że wszystko w porządku. Ciekawe, pomyślała Giselle, czy to dlatego, że Marc powiedział im, że między nami nic nie ma i nie będzie, czy też pomyślnie przeszłam weryfikację i zostałam zaakceptowana.

– Wyglądacie fantastycznie – odezwała się do dzieci.

Tom i Alice wyprostowali się z dumą, a Alice szepnęła:

– Ty też. – Potem dodała zmartwiona: – Żeby tylko tacie nic nie było.

– Coś się stało? – zaniepokoiła się Giselle.

– Wczoraj wieczorem nie czuł się dobrze. Kilka razy musieliśmy robić mu picie i dawać paracetamol, bo coś go bolało. Tom chciał dzwonić do ciebie, bo jesteś lekarzem i przyjaźnisz się z nami, ale tata zabronił.

Czego innego mogła się spodziewać? Ciekawe, jak długo jeszcze wytrzymam? Taki stan nie może trwać w nieskończoność, w końcu będę musiała uporządkować nasze sprawy, pomyślała.

– A jak było dziś rano?

– Bez zmian. Bolało go, był jakiś taki smutny – odezwał się Tom. – Tata zrobił się smutny, odkąd przestałaś do nas przychodzić – dodał.

Giselle westchnęła. Marc na pewno nie ucieszyłby się, gdyby słyszał, o czym rozmawiamy. Ale najgorsze, że jest chory. Muszę się dowiedzieć, co mu jest. Chociaż chyba nie czuje się aż tak źle, skoro przyszedł na ślub. Zresztą zaraz sama zobaczę.

I rzeczywiście, kiedy uniosła głowę, zobaczyła Marca w towarzystwie obu panów młodych, Franka i Toby'ego, wchodzącego z zakrystii. Od razu pomyślała, że dzieci nie przesadziły. Był bardzo blady i wymizerowany, niemniej starał się robić dobre wrażenie i uśmiechał się do zgromadzonych gości, a do Toma i Alice puścił oko. Natomiast kiedy zobaczył Giselle i spostrzegł, jak jest ubrana, w jego oczach dostrzegła błysk ironii. Widocznie przypomniała mu się scena ze sklepu.

Ale na niej wszystko to nie zrobiło większego wrażenia. Jej ukochany jest chory. W tej chwili na pewno jedyne, czego pragnie, to znaleźć się w łóżku, ale mobilizuje wszystkie siły, by nie sprawić zawodu starym przyjaciołom. Cały Marc.

Rozległy się pierwsze takty marsza weselnego, wszyscy goście wstali. Idąc główną nawą, trzymając się pod rękę, panny młode, matka i córka, rozdawały na prawo i lewo uśmiechy, a za nimi sunęły przejęte drużyny.

Kiedy mijaly ich ławkę, Giselle uściskała rączkę Alice i szepnęła jej na ucho:

– Pewnego dnia przyjdzie kolej i na ciebie, kochanie.

– Wiem. Już się nie mogę doczekać.

Giselle ze wzruszeniem śledziła ceremonię zaślubin. Co za wspaniali ludzie, myślała. Nie znali się długo, podobnie jak ona i Marc, ale od razu przypadli sobie do serca. Żadne z ich jednak nie przeżywało podobnych rozterek co ona.

Pewien wyjątkowy mężczyzna sprawił, że nareszcie zrozumiała, gdzie spędzi resztę życia i jeśli tylko nie całkiem wyrzucił ją z serca, już wkrótce powie mu te słowa, które tak bardzo pragnie od niej usłyszeć.

Ale najpierw musi zobaczyć, co mu dolega i zrobić wszystko, by udzielić mu pomocy. W naszej pracy bardzo łatwo zarazić się od pacjenta. Kiedy tylko nadarzy się okazja, porozmawiam z nim jak lekarka, postanowiła.

Marc już prawie wypełnił wszystkie obowiązki drużby. Właśnie wygłosił toast i wręczył druhom pamiątkowe prezenty w postaci ślicznych bransoletek. Za kilka chwil obie szczęśliwe pary nowożeńców miały pojechać na farmę. Niestety w ich przypadku podróż poślubna nie była możliwa, zwierząt i zbiorów nie można zostawić bez dozoru.

Kiedy goście zaczęły się rozchodzić, nareszcie będzie mogła z nim porozmawiać, myślała Giselle.

Marc wyglądał koszmarnie i jej niepokój o jego zdrowie wzrastał się z każdą minutą, lecz ilekroć próbowała odciągnąć go na bok, ktoś go gdzieś wołał, a on z ochotą podążał za nim. W końcu jednak sala domu parafialnego opustoszała. Giselle i Marc wyszli jako ostatni.

– Co się z tobą dzieje? – spytała, kiedy szli do samochodów. – Dzieci mówiły mi, że wczoraj wieczorem źle się poczułeś. Wyglądasz okropnie.

– Nie wiem, co mi jest – burknął niezbyt uprzejmym tonem. – Możliwe, że zaraziłem się czymś od pacjenta. Najważniejsze, że

nie sprawiłem zawodu Frankowi i Toby'emu.

– Nikomu nie sprawiłeś zawodu – rzekła łagodnie. – Zawsze dotrzymujesz słowa, ale powiedz, czy możemy udać się gdzieś, gdzie mogłabym cię zbadać?

– Nic mi nie jest – zaprotestował. – Gdzie dzieci?

– Pojechały z dziadkami. Margaret i Stanley sami je później przywiozą, więc możesz się na chwilę położyć. – Widząc, że Marc wyjął kluczyki i trzyma je w dłoni, Giselle wyrwała mu je i włożyła do torebki. – Wiem, że nie pragniesz mojego towarzystwa, lecz nic na to nie poradzę. Zabieram cię do domu i zostanę tak długo, aż stwierdzę, co ci dolega.

Marc, bardzo blady, bez słowa sprzeciwu wsiadł do samochodu.

– To zapalenie wyrostka robaczkowego – oświadczył. – Zawieź mnie do szpitala.

– Zapalenie wyrostka? – wykrzyknęła. – Przecież cię nie boli!

– W nocy miałem bóle, które potem ustąpiły, co może oznaczać...

– Wiem, co to może oznaczać – wpadła mu w słowo. – Perforację. Jak mogłeś aż tak ryzykować!

– Musiałem stawić się na ślubie.

– Nie pleć! Perforowany wyrostek to bardzo poważna sprawa. Na miłość boską, przecież jesteś lekarzem!

– Nie miej mnie za idiotę – odparł cierpko. – Trzymam rękę na pulsie. Jeśli nie będziemy dalej marnować czasu, wyliżę się.

– Miałeś zamiar sam zawieźć się do szpitala? – spytała lodowatym tonem.

– To tylko dziesięć minut za kółkiem – odparł.

– Twój wyrostek mógłby nie zechcieć aż tak długo czekać. – Po tych słowach w samochodzie zaległa martwa cisza.

Kiedy Marca zbadano, znajomy konsultant rzekł:

– Przeszarżował pan, kolego. Pilno panu na tamten świat? Natychmiast na salę operacyjną! – zarządził, a potem zwrócił się do Giselle i spytał: – Pani jest jego żoną?

– Nie – odparła spokojnym tonem. – Koleżanką z pracy.

– To dlaczego pozwoliła mu pani aż tak ryzykować? To cud, że wyrostek do tej pory nie pękł. Facet musiał zwijać się z bólu.

– Podobno miał silne bóle, ale w nocy.

– Więc dlaczego...

– Bo obiecał być drużbą na ślubie przyjaciół i nie chciał złamać słowa.

Jeśli Marc słyszał ich rozmowę, nie wtrącał się. Kompletnie wyczerpany, z poszarzałą twarzą, leżał na łóżku szpitalnym.

Niepokój, który nie opuszczał Giselle od chwili, kiedy usłyszała diagnozę, wzmógł się. A jeśli umrze przekonany, że jestem zimną snobką? – myślała, czekając na rezultat operacji. Nareszcie ujrzała przed sobą uśmiechniętą twarz chirurga.

– Marc jest już na pooperacyjnym. Diagnoza, że to wyrostek, potwierdziła się. Ryzykował, lecz był tego w pełni świadomy. Większość z nas przy rozmaitych okazjach się z nim zetknęła i wiemy, że nie rzuca słów na wiatr. Skoro obiecał, że będzie drużbą, dokonał cudów, żeby spełnić przyrzeczenie.

Jeszcze później tej samej nocy, siedząc przy łóżku Marca, Giselle przypominała sobie, co powiedział jej o nim tamten lekarz. Nie rzuca słów na wiatr. Czy więc zmieni zdanie o niej? Miała nadzieję, że kiedy pożegna się z Paryżem, usunie przeszkodę, która ich dzieli, lecz może się myliła? Może różnice między nimi są zbyt głębokie?

Gdy Marc był w sali operacyjnej, zawiadomiła telefonicznie Margaret i Stanleya, co się stało.

– Oczywiście zaopiekujemy się dziećmi – obiecała Margaret, gdy odzyskała mowę. – Rano przywieziemy je, żeby zobaczyły się z ojcem – dodała.

– Mnie już do tej pory nie będzie – uprzedziła Giselle. – Muszę zajrzeć do przychodni i przygotować się do przyjęcia pacjentów Marca zapisanych na poniedziałek, ale będę w kontakcie.

– Będzie mi miło – odparła Margaret. – I jeszcze jedno...

– Słucham?

– Przepraszam, że tamtego dnia byłam dla pani taka nieuprzejma. Nie umiałam się pohamować. Może wpadnie pani

kiedyś do nas na lunch albo na kolację? Zapraszam. Mogłybyśmy się lepiej poznać.

– Dziękuję. Z przyjemnością.

Kiedy Marc wybudził się po operacji, poczuł woń perfum Giselle. W pierwszej chwili nie mógł jej zobaczyć, lecz gdy kontury wokół niego stały się wyraźniejsze, ujrzał ją stojącą koło okna, zapatrzoną w noc, wciąż ubraną w tę samą suknię co na ślubie. Nie wiedziała jeszcze, że odzyskał przytomność.

– Podoba mi się ta sukienka – wymamrotał sennie. Giselle odwróciła się gwałtownie i podbiegła do niego.

– Jak się czujesz? Marc westchnął.

– Wszystko mnie boli. Niepotrzebne mi to było. Co z dziećmi, z przychodnią...

Giselle uśmiechnęła się do niego.

– To, że jesteśmy lekarzami, nie znaczy, że nie możemy zachorować jak każdy. Najgorsze już minęło. Zobaczysz, niedługo staniesz na nogi.

– A do tego czasu?

– Do tego czasu ja z Craigiem i resztą twojego wiernego personelu zajmiemy się lecznicą, a dzieci wezmą pod opiekę twoi teściowie, którym też chętnie pomogę. Aha, dziś rano przywiozą je tu, żeby mogły się z tobą zobaczyć.

Marc uspokojony kiwnął głową.

– Dopilnuj, żeby Frank i Toby się nie dowiedzieli, że na ich ślubie przechodziłem takie męki, dobrze? Niech sądzą, że dopiero po uroczystości dostałem nagiego ataku. Inaczej będą mieli zepsute wspomnienia.

– Oczywiście. Zrobię wszystko, co zechcesz, żebyś tylko był szczęśliwy.

– Wszystko? Wątpię – odparł beznamiętnym tonem – ale to i tak przeszłość. Każdy z nas kiedyś zabrniesz w ślepią uliczkę.

– Racja – zgodziła się z nim Giselle. Nie chciała teraz drażnić tego tematu.

Do pokoju weszła pielęgniarka.

– Niedługo będzie obchód – uprzedziła. – Dobrze, żeby pacjent przedtem odpoczął – dodała.

– Tak, oczywiście – wybąkała Giselle. Musnęła wargami czoło Marca i obiecując zajrzeć do niego później w ciągu dnia, wyszła.

Jeszcze w nocy zatelefonowała do ojca wytłumaczyć, co się stało, a kiedy wczesnym rankiem dojechała do domu, Philip czekał na nią ze śniadaniem.

– Jak się czuje Marc? – brzmiały jego pierwsze słowa. – Muszę przyznać, że z wami dwojgiem człowiek się nie nudzi.

– Nie przesadzaj, tato – odparła zmęczonym głosem. – Marc cały dzień pełnił rolę drużby, a miał zapalenie wyrostka, który w każdej chwili mógł pęknąć. Na szczęście zdążyliśmy do szpitala, zanim zdarzyło się najgorsze. Już jest po operacji i dochodzi do siebie. Najbliższe kilka dni będą i dla mnie, i dla jego teściów bardzo ciężkie.

– Czyli musisz odłożyć na razie te krótkie wakacje, jakie sobie obiecywałaś.

– Na to wygląda. Teraz przebiorę się, wezmę prysznic, potem coś zjem, a później pójdę do przychodni przygotować się na jutro. Do czasu jego powrotu ja będę wszystkim kierować.

– Ludzie w mieście bardzo się zmartwią – stwierdził Philip.

– Czym? Tym, że zastępuję Marca?

– Nie, tym, że jest chory. Chociaż mogło być jeszcze gorzej. Mógłby wyjechać na zawsze.

Czyżby w ten zawołowany sposób ojciec mnie ostrzegał? – zastanawiała się Giselle, nareszcie zdejmując sukienkę, którą miała na sobie od niepamiętnych, jak jej się zdawało, czasów...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W szpitalu Marc spędził kilka dni. Gdyby nie zdecydowany sprzeciw Giselle, Craiga i pozostałych członków zespołu, którzy stanowczo kazali mu odpocząć jeszcze przez co najmniej dwa tygodnie, od razu stawiłby się w pracy.

Podczas pobytu ojca w szpitalu dzieci mieszkały u dziadków, lecz już wkrótce miały wrócić do domu i Marc miał nadzieję, że jego życie nabierze pozorów normalności. .

Obecnie, gdy czuł się coraz lepiej, rzadziej widywał Giselle. Co prawda przedtem też nie spotykali się zbyt często. Zaglądała do szpitala zawsze w biegu i zawsze tylko na krótką chwilę. Rozumiał, że spadły na nią dodatkowe obowiązki, niemniej było mu przykro.

Nie mógł jednak narzekać na nudę. Przez jego pokój wciąż przewijali się znajomi, a wśród nich były obie pary nowożeńców, którzy na szczęście nie domyślali się, jak bardzo cierpiał podczas ceremonii ich zaślubin.

Odwiedził go również Damien z rodzicami. Badania wykazały, że chłopak miał napad epilepsji, lecz ponieważ atak się nie powtórzył, wszyscy trzymali kciuki za to, by przyjmowanie leków przeciw konwulsjom jak najdłużej nie było konieczne.

Irene, cierpiąca na zespół Münchhausena, także przyszła z wizytą, zazdrosnym okiem patrząc, że Marc leży w szpitalnym łóżku.

Właściwie przynajmniej połowa mieszkańców miasteczka przyszła życzyć mu szybkiego powrotu do zdrowia, natomiast Giselle pojawiała się bardzo rzadko. Czego się spodziewałeś? Kazałeś jej wracać, skąd przyjechała, więc dlaczego miałyby dotrzymywać ci towarzystwa kosztem innych zajęć? – mówił do siebie w myślach.

Chociaż na temat Giselle nie padły między nimi żadne komentarze, miał wrażenie, że teściowie przekonali się do niej. Co

za ironia losu, myślał. Oni ją zaakceptowali, a ja machnąłem na nią ręką. Chociaż, kto wie, pocieszał się czasami. Może jeszcze coś wyjdzie z naszej miłości? Przynajmniej wówczas nie będzie już problemu z Margaret i Stanleyem.

Dziwnie się czuł, spędzając całe dni w domu. Bez pośpiechu mógł wykonywać wszystkie obowiązki, a rano spokojnie wyprawić dzieci do szkoły. Lecz rekonwalescencja wreszcie się skończyła i nadszedł dzień powrotu do pracy. Z dwóch powodów cieszył się na tę chwilę: kochał swoich pacjentów... i kochał Giselle.

Kiedy pierwszego dnia po chorobie Marc zatrzymał samochód przed lecznicą, mimowolnie wybuchnął śmiechem. Nad wejściem wisiał bowiem transparent:

WITAJ!
STĘSKNILIŚMY SIĘ ZA TOBĄ,
DOKTORZE BANNERMAN!

A ja za wami, pomyślał. Szczególnie za jedną z was.

Dobrze było wrócić do pracy, myślał, idąc po porannym dyżurze do samochodu. Bez pacjentów, bez atmosfery miasteczka, czuł się jak ryba wyciągnięta z wody. Jediną rzeczą, która psuła mu dobry nastrój, były chłodne stosunki z Giselle. Ani słowem nie nawiązała do owej pamiętnej nocnej rozmowy telefonicznej, w której padły z jego strony ostre oskarżenia. Wniosek nasuwał się więc sam: jego opinia do tego stopnia jej nie interesuje, że nawet nie fatyguje się dyskutować.

Nadal demonstrowała ten sam spokój i opanowanie co w ciągu tygodnia poprzedzającego ślub Franka i Toby'ego, jak gdyby chciała dać mu do zrozumienia, że jest ponad takie drobne zatargi. Domyślał się przyczyny: wraca do Paryża. Kiedy to nastąpi? – zastanawiał się i natychmiast sobie odpowiadał: Dowiem się w odpowiednim czasie.

Wsiadał już do samochodu, kiedy zobaczył Toby'ego na

traktorze, jadącego główną ulicą. Na widok lekarza Toby zatrzymał się.

– Dzień dobry, doktorze! – krzyknął. – Jak się pan czuje?

– Już dobrze. A ty?

– Wspaniale. Nie mógłbym lepiej. Nie wiem, jak panu dziękować. Może dzieciaki chciałyby prosiaka albo małego koziołka, albo i jedno, i drugie, jeśli macie je gdzie trzymać?

– Eee... Dziękuję za propozycję – odparł Marc lekko zbity z tropu – ale nie jestem pewien, czy nasz mały ogródek za domem jest odpowiednim miejscem dla zwierząt.

– Dzieci mogłyby trzymać swoich podopiecznych w Abbeyfields – za jego plecami rozległ się głos Giselle. – Mój ojciec chętnie pomoże im opiekować się zwierzętami.

– Widzi pan? Przyjedźcie, niech dzieciaki same sobie wybiorą, które zechcą. – Schylając się z wysokiego siodelka w stronę Giselle, dodał konfidencyjnym szeptem: – A jeśli już o dzieciakach mowa, moja stara wybiera się do pani, doktor Howard. W tym miesiącu nie miała okresu. Teraz widzicie, dlaczego jestem w siódmym niebie, co?

Gdy odjechał, Marc zwrócił się do Giselle:

– Nie musiałaś tego robić. Przywiązujesz dzieci do siebie, a potem będą za tobą tęskniły.

– Na miłość boską, Marc! – zaprotestowała. – Obojętnie, co ja zdecyduję, ojciec nigdzie się nie wybiera. Tom i Alice mogą przychodzić do Abbeyfields, jak długo chcą, więc przestań wyszukiwać preteksty, żeby mnie pogiębić.

To powiedziawszy, wsiadła do samochodu i odjechała odbyć domowe wizyty, a Marcowi nagle wydało się, że słońce straciło cały swój blask.

Niewiarygodne, myślał, jadąc na swój obchód. Mnie zupełnie się nie układa z Giselle, a Toby, który zaledwie dwa miesiące temu był na najlepszej drodze, by zostać ciężko harującym na farmie starym kawalerem, ożenił się i już niedługo zostanie ojcem!

Doszedł do wniosku, że źle ulokował swe uczucia. Zakochał się

w kobiecie, która go nie chce.

Powiedzieć, że dzieci ucieszyły się z prezentu od Toby'ego, to za mało – były w siódmym niebie. Alice uparła się, by Giselle towarzyszyła im podczas wyprawy na farmę i pomogła wybrać zwierzęta, i Marc w końcu się zgodził. Będę miał jeszcze jedno miłe wspomnienie dla urozmaicenia samotnej przyszłości, pomyślał.

W drodze powrotnej, kiedy w pożyczonej przyczepie wieźli prosiaka i koziołka, a w kieszeni listę zaleceń, jak się nimi opiekować i czym karmić, Tom oznajmił:

– Koziołka nazwiemy Geronimo, za to świnkę...

– Księżniczką Pinky! – wpadła mu w słowo Alice.

– Bardzo sprytnie wymyślane – pochwalił Marc, Giselle natomiast musiała zmobilizować całą siłę woli, by nie wybuchnąć śmiechem.

Czuła się szczęśliwa. Szczęśliwa, że jest z Markiem, że jest z dziećmi, a jeśli on nie czuł się tak samo szczęśliwy, to miała nadzieję, że już wkrótce to się zmieni. Ale wszystko po kolei, uspokajała się w myślach. Zanim rozpocznę nowy rozdział życia, muszę zamknąć poprzedni.

Dwa tygodnie później zawiadomiła swojego szefa:

– Teraz, kiedy czujesz się już dobrze i wróciłeś do pracy, chciałabym wziąć kilka dni urlopu. Ostatni okres był dla mnie bardzo wyczerpujący, fizycznie i psychicznie, i potrzebuję odmiany.

– Oczywiście – odparł sztywno. Uświadomił sobie nagle, jak bardzo by pragnął zostać uwzględniony w jej planach. – Ojciec wyjeżdża razem z tobą? – spytał.

– Eee... Nie. Jadę sama – rzuciła szybko, Marc zaś pomyślał, że chciała tym samym uniknąć pytania, czy jedzie z kimś innym, na przykład z tym playboyem w porsche, chociaż od tamtej wizyty słuch po nim zaginął. – Więc od kiedy chcesz wziąć urlop? – spytał.

– Od czwartku.

– Na jak długo?

– Jeszcze nie wiem. Mogę cię zawiadomić później?

– Dobrze, jeśli tak ci wygodniej – zgodził się odrobinę niechętnie.

Gdy Giselle wróciła do swojego gabinetu, Marc pograżył się w myślach. Najprościej by było zapytać Philipa, czy wie, co zamierza jego córka, lecz nie mógł tego uczynić, nie mógł za jej plecami ukradkiem sprawdzać, co ona robi. Zresztą postawiłby starszego pana w niezręcznej sytuacji. A jeśli Giselle zabroniła ojcu rozmawiać z Markiem o niej?

– Często widywaliście Giselle, kiedy byłem w szpitalu? – zwrócił się przy kolacji do dzieci.

Właściwie nie wiedział, dlaczego pyta, ale chciał mieć jakiś punkt zaczepienia.

– Tak – odparła Alice. – Przychodziła codziennie, a raz nawet, kiedy dziadek z babcią gdzieś poszli, została z nami.

Naprawdę? Ciekawe, dlaczego nikt nie uznał za stosowne mi o tym powiedzieć? Z jednej strony może to dobrze, ale z drugiej zdecydowanie nie. Jak mogła chcieć zacieśniać więzy łączące ją z dziećmi, i jednocześnie nie chcieć położyć kresu jego udreć?

W środę w nocy nie mógł zmrużyć oka. W pewnej chwili chciał nawet wstać i biec do Abbeyfields, wyrzucić z siebie wszystko, co go dręczyło, uczucia, plany. Zaraz potem doszedł jednak do wniosku, że tamtego ranka, kiedy Giselle oznajmiła, że dobrze się stało, iż nie spędzili nocy razem, powiedział jej wszystko, co miał do powiedzenia. Czy teraz coś się zmieniło?

Przypomniawszy sobie radość, jaką poczuł, gdy wybudziwszy się po operacji, ujrzał Giselle przy sobie. Była wtedy dla niego taka dobra i czuła, że chciał cofnąć wszystkie gorzkie słowa, lecz w następnych dniach tak mało ją widywał, że zrozumiał, iż nic się nie zmieniło. Giselle wciąż pozostawała dla niego zagadką.

Przygotowując się do wyjazdu do Paryża, Giselle czuła się znacznie spokojniejsza niż w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Decyzja została podjęta, nadszedł czas działania. Zarezerwowała miejsce w samolocie i kiedy w czwartek rano obudziła się, koperta z biletem leżała na podłodze w korytarzu pod otworem na listy.

Dziwnym zbiegiem okoliczności w poczcie znalazły się również oferty paryskiego biura pośrednictwa handlu nieruchomościami zajmującego się sprzedażą apartamentów w stolicy Francji. Przypomniała sobie, że zaraz po przyjeździe do Anglii skontaktowała się z nimi, by ewentualnie, jeśli zdecyduje się wracać, orientować się w rynku. Teraz nie było to jej już potrzebne, lecz nie chcąc zostawiać broszury na wierzchu, zgarnęła ją razem z biletem i wrzuciła do torebki.

Philip wiedział oczywiście, że wyjeżdża, lecz kiedy pytał, dokąd się wybiera, udzielała wymijających odpowiedzi, twierdząc, że zatrzyma się tam, gdzie będzie miała ochotę. Bała się, że gdyby przyznała się, iż jedzie do Paryża, ojciec mógłby zawiadomić Marca.

Starszy pan przyjął do wiadomości to, co córka mu powiedziała, i przeszedłby nad tym do porządku dziennego, gdyby w czwartek rano nie wstał przed nią i nie zobaczył biletu i broszur leżących na podłodze.

Kiedy Giselle zeszła na dół, nie wspomniał o tym ani słowem, lecz w głowie brzmiało mu pytanie zadane kilka dni wcześniej: „Dasz sobie radę sam, tato, prawda?”, oraz obietnica: „Zadzwoń, jak tylko dojadę na miejsce”.

Tajemniczość nie leżała w charakterze Giselle. Był pewny, że to wszystko ma jakiś związek z Markiem, nie wiedział tylko jaki. Ucieszyłby się, gdyby sympatyczny lekarz został jego zięciem, ale czy Giselle chciała go za męża? Może przeszłość zbyt waży na jej życiu?

Odprowadził samochód Giselle wzrokiem, a kiedy auto zniknęło mu z pola widzenia, wbiegł do domu i sięgnął po płaszcz. Jeśli popełni błąd, powie jej po powrocie, że bardzo żałuje, lecz nie mógł stać z boku i biernie się przyglądać.

Poczekalnia była prawie pusta i Philip odetchnął z ulgą.

– Czy mógłbym zamienić kilka słów z doktorem Bannermanem? – zwrócił się do recepcjonistki. Widząc na jej twarzy wahanie, dodał: – To bardzo pilne. Sprawa osobista.

Recepcjonistka skinęła przyzwalająco głową i rzekła:

– Dobrze. Jak tylko doktor Bannerman skończy przyjmować pacjenta, będzie pan mógł wejść.

– Philip! – wykrzyknął Marc na jego widok i spojrzał na biurko. – Nie widzę tu twojej karty. Byłeś umówiony?

– Nie – odparł Philip pospiesznie. – Czuję się dobrze, chociaż kiedy powiem, z czym przychodzę, pomyślisz pewnie, że powinienem udać się raczej do psychiatry. Chodzi o Giselle.

Marc, który słuchał odchyłony na oparcie krzesła, nagle usiadł prosto i spytał:

– O Giselle?

– Wylatuje dziś rano do Paryża. Bilet dostarczyli pocztą, a ponieważ nie chciała powiedzieć, dokąd się wybiera, zajrzałem do koperty. Tą samą pocztą przyszła broszura z agencji handlu nieruchomościami. Uznałem, że powinienem ci o tym powiedzieć.

– Więc domyśliłeś się, że jestem w niej zakochany?

– Oczywiście.

– Nie wiem, czy będę ci za to wdzięczny, czy nie – rzekł Marc wstając i zanim Philip zdążył odpowiedzieć, już go nie było.

Giselle z uśmiechem na twarzy podchodziła do stanowiska odprawy. Po raz pierwszy od wielu miesięcy widziała przed sobą jasno wytyczoną drogę. Szybka przeprowadzka do Anglii tuż po śmierci matki pogłębiła jej poczucie zagubienia i frustracji. Potem poznała wymarzonego mężczyznę, dobrego, czułego, namiętnego... i niecierpliwego.

We Francji pozostawiła dwie miłości, ukochaną matkę i ukochane miasto, w którym się wychowała. I chociaż Marc spodobał jej się od pierwszej chwili, potrzebowała czasu, zanim przyznała się przed sobą, że jej na nim zależy. Teraz była już tego pewna. Za dwa dni wróci, gotowa dzielić z nim życie, jeśli on nadal tego pragnie.

Odwróciła się, by przejść dalej, gdy nagle oczy omal nie wyszły jej z orbit. Przez tłum podróżnych przeciskał się błękitnooki postawny blondyn i zmierzał prosto ku niej!

Kiedy się zbliżył, powitała go promiennym uśmiechem.

– Jak mogłaś? – wycedził przez zęby. – Chciałaś odjechać bez pożegnania? Jeśli nawet nie chciałaś żegnać się ze mną, mogłaś przynajmniej powiedzieć coś Tomowi, Alice i personelowi lecznicy, że już cię nie będzie. A co z ojcem? Zostawiasz go samego w tym ogromnym domu?

Giselle z uśmiechem pokazała mu kopertę z biletami, którą trzymała w ręku.

– Nie wiem, kto ci powiedział, że tu mnie znajdziesz, ale domyślam się. Widzisz to? – Podała mu kopertę. – To bilet powrotny z Paryża do Manchesteru. Jadę tam, bo chcę załatwić dwie sprawy: odwiedzić grób mamy i pożegnać się z miastem mojego dzieciństwa i młodości. Potem wracam, bo kocham ciebie, twoje dzieci i... ten zakątek Cheshire, w którym mieszkacie.

– Nie wierzę – szepnął. – Myślałem, że wyjeżdżasz bez słowa i zostawisz mnie pogrążonego do końca życia w rozpacz.

– Będziesz czekał tutaj na mnie, kiedy wrócę?

– Czy będę? Oczywiście, że tak. Jedyne, czego pragnę, to być tam gdzie ty. Wiesz, że gdybyś mnie poprosiła, przeniósłbym się do Paryża?

Giselle potrząsnęła głową.

– Miejsce twoje i dzieci jest tutaj, i chociaż wiem, że nigdy nie spodziewałaś się tego ode mnie usłyszeć, czuję, że ja też należę do społeczności waszego miasteczka. – Rozmowę przerwał im komunikat dla pasażerów odlatujących do Paryża. – Muszę iść, ale mam do ciebie prośbę.

– Słucham.

Giselle postawiła torbę podróżną na ziemi, padła na kolana i wyznała:

– Miałam zamiar uczynić to po powrocie, żeby ci udowodnić, że nie żartuję, ale zrobię to teraz. Ożenisz się ze mną?

– Tak! Tak! Tak! – wykrzyknął Marc, a mijający ich pasażerowie, którzy przystanęli na widok tej sceny, nagrodzili ich gromkimi oklaskami.

W Paryżu odwiedziła wszystkie miejsca, jakie przyszły jej na myśl: katedrę Notre Dame, Luwr, Poła Elizejskie, ulubione centra

handlowe. Na koniec złożyła duży bukiet kwiatów na grobie matki znajdującym się na pograżonym w ciszy i spokoju cmentarzu.

– Kocham go, *mamon* – szepnęła. – Nie znajduję słów, żeby wyrazić jak bardzo. Życz mi szczęścia.

Siedząc w samolocie do Manchesteru, nie czuła w sercu żalu. Paryż był tak samo piękny jak we wspomnieniach, lecz ona zrobiła w życiu już następny krok. Odtąd będzie mieszkała w małym miasteczku w Cheshire, tam gdzie jej ukochany.

Marc wyróżnia! się w tłumie na lotnisku. Gdy ich spojrzenia się spotkały, wiedziała już na pewno, że w Anglii jest jej nowy dom.

– I jak? – spytał, biorąc ją w ramiona. – Bardzo trudno było ci się żegnać z Paryżem?

– Nie – zaprzeczyła, potrząsając głową. – Cały czas wiedziałam, że pragnę być przy tobie.

– Spędzimy tam nasz miesiąc miodowy – obiecał. Giselle uniosła ku niemu uśmiechniętą twarz i spytała:

– Sądzisz, że Tom i Alice zaakceptują twój pomysł?

– Nie rozumiem? – spytał powoli.

– A mnie się wydaje, że doskonale rozumiesz.

– Chcesz ich zabrać w podróż poślubną?

– Mmm. Dlaczego nie? Nie możemy ich zostawić. Stanowimy rodzinę.

– Jesteś niewiarygodna!

– Nie. Dużo czasu zabrało mi uświadomienie sobie, czego ode mnie oczekujesz. To dlatego nie chciałam kochać się z tobą, zanim podejmę decyzję. Wiedziałam, że jeśli spędzimy razem noc, nie będę już w stanie myśleć racjonalnie. Chociaż i tak, kiedy byłeś w pobliżu, zawsze mnie rozpraszałeś. Ale muszę cię uprzedzić, że w nic nie potrafię zaangażować się połowicznie i wkrótce stanę się większą patriotką naszego miasteczka niż ci, którzy się tam urodzili.

– Chcesz powiedzieć, że zaczniesz smażyć konfitury i zgłosisz się na mistrzynię ceremonii podczas corocznego kiermaszu dobroczynnego? – zażartował.

Giselle roześmiała się.

– Co do kiermaszu, to się nie zarzekam, może wygłoszę małe przemówienie, ale w sprawie konfitur to się jeszcze okaże – odparła. W drodze z lotniska do domu Giselle przyznała się Marcowi, że obiecała Alice, iż pewnego dnia będzie druhną. – Chyba nie pomyśli, że wychodzę za ciebie tylko po to, żeby dotrzymać słowa – rzekła.

– Skoro już o ślubie mowa, to jaki termin ci odpowiada? – spytał. – Dla mnie może być jutro, najdalej pojutrze.

– Boże Narodzenie? – zaproponowała. – Nie musielibyśmy przerywać dzieciom szkoły. Ja mogłabym mieć pelerynę z białego aksamitu, a zamiast bukietu mufkę ozdobioną kwiatami, Alice zaś ubrana by była w czerwoną pelerynkę, również z mufką.

– To dla mnie pozostaje tylko strój Świętego Mikołaja!

Wszystko odbyło się tak, jak Giselle opisała, z tą różnicą, że Marc, zamiast w stroju Świętego Mikołaja, wystąpił w tradycyjnym żakiecie ze sztuczkowymi spodniami i w cylindrze. Podobnie ubrany był Craig, jego družba. Philip chciał, by przyjęcie odbyło się w jakimś eleganckim hotelu, lecz młodzi postawili na swoim i wynajęli salę w domu ludowym, tak że wszyscy mieszkańcy miasteczka mogli uczestniczyć w weselu ich ulubionego lekarza.

Gdy Giselle, prowadzona przez ojca, szła do ołtarza, a uszczęśliwiona Alice kroczyła tuż za nimi, otaczała ich atmosfera takiej serdeczności, że pannie młodej łzy wzruszenia napłynęły do oczu.

– Dlaczego płaczesz? – zaniepokoił się Marc.

– Stało się coś?

– Nie. Wszystko jest dokładnie tak, jak powinno – uspokoiła go. – I właśnie dlatego płaczę – dodała.

Philip ustąpił co do wesela, lecz w innej sprawie okazał się nieugięty. Przepisał Abbeyfields na młodych, a dla siebie postanowił dobudować boczne skrzydło i urządzić w nim małe mieszkanie. Giselle przypomniały się jego słowa: „Nigdy nie

wiadomo, może skończy się tak, że wszyscy razem tu zamieszkamy? Ty, Marc i dzieci”.

Wówczas taka wizja wydawała jej się wysoce nieprawdopodobna, lecz gdy opowiedziała o tym Marcowi, przyznał się:

– Kiedy przelicytowałeś mnie podczas aukcji, nie byłem aż tak bardzo rozczarowany, bo czułem, że kiedyś zamieszkam w tym domu moich marzeń. Tylko wtedy nie wiedziałem jeszcze, że ty będziesz właśnie tą kobietą, którą pokocham.